REFLEKSJE

MAGAZYN AKTUALNOŚCI WSPÓŁCZESNYCH

PUBLICYSTYKA LITERATURA SZTUKI PIĘKNE
SPRAWY SPOŁECZNE AKADEMICKIE
GOSPODARCZE TECHNICZNE
SPORT ROZRYWKI
HUMOR



Wychodzi co kwartał. Cena 2 złote.

TREŚĆ

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEŃ 1938

Na okładce drzeworyt dwubarwny Jana Kurkiewicza „Kościółek“

Nr 2 Układ graficzny: Kazimierz Ropelewski Rok I.

REFLEKSJE

Magazyn aktualności współczesnych

Publicystyka, literatura, sztuki piękne, sprawy społeczne, akademickie, gospodarcze, techniczne, sport, rozrywki, humor.

Kraków, — Poznań, — Warszawa, — Lwów, — Wilno, — Lublin.

WIELKIE DNI.....

Zadrżała cała Polska, jak matka, witająca po długiej rozłące swe Dziecko.....

Zwyciężyła stalowa wola Narodu. Śląsk Zaolzański wrócił do Polski. Serdecznie wyciągają się dłonie, witając z dumą naszych nieugiętych Braci z za Olzy.

I wspólnie już z Nimi, chylimy głowy, w głębokiej czci przed Tymi, Którzy swe życie złożyli w walce o Świętą Sprawę....

A usta szepcą słowa przysięgi:

„że ślubujemy pracować dla Polski całą siłą naszej młodości i tą siłą Jej wiernie służyć!"

Wiele jeszcze mamy do zrobienia, od prastarych wieżyc Gdańska aż po dumne szczyty Tatr...

Nie lękamy się trudów i w pracy tej wytrwamy!

Najaśniejsza Rzeczpospolita niech żyje!

Sława Tym, Którzy do Jej potęgi dążą!

Rozmawiamy z Czytelnikami

Z satysfakcją możemy stwierdzić, iż nie spełniły się przepowiednie tych, którzy kiwając ze zdziwieniem głowami nad pierwszym numerem „REFLEKSJI", mawiali zresztą bez zgryźliwości: „ładny jest ten wasz pierwszy numer, ale utrzymać pismo jest jeszcze trudniej niż je założyć . . ."

Wbrew tym pesymistycznym uwagom drugi numer naszego czasopisma wychodzi z pod prasy drukarskiej. Oddajemy go naszym Szanownym Prenumeratorom i Czytelnikom, dziękując Im zarazem za łaskawe zrozumienie najistotniejszych pobudek, jakimi kierowaliśmy się w naszej pracy.

Zapowiedzieliśmy już poprzednio, że „REFLEKSJE" będą starały się dotrzeć nie tylko do miast ale także pozyskać sobie i prowincję, a przede wszystkiem te zakątki kraju, które do tej pory były pozbawione jakiegokolwiek wartościowszego czasopisma.

Nie poprzestaliśmy na zapowiedzi. Kolega nasz, red. Kazimierz Ropelewski stud. Akad Sztuk Pięknych wraz z drugim kolegą przebyli w ciągu ostatnich miesięcy motocyklem tysiące kilometrów, zyskując nowych Czytelników i Sympatyków dla naszego Magazynu i nawiązując z Nimi osobisty kontakt. Obecnie zapowiadamy następny etap naszej pracy: pozyskanie szerokich rzesz Czytelników wielkich miast. Zdajemy sobie dobrze sprawę, iż zadanie to nie będzie łatwiejsze niż poprzednie — wystarczy tylko wziąść pod uwagę tak często u mieszkańców miast spotykane znudzenie spowodowane dostępnością dużej liczby różnych pism, lecz często podobnych treścią podawanych wiadomości. Właśnie jednak dla tego wierzymy, iż odmiennością omawianych tematów i rzetelnem ich ujęciem potrafimy sobie zyskać zaufanie i poczytność, jaką zyskaliśmy na prowincji.

Ważnym niewątpliwie atutem jest fakt naszej zupełnej niezależności finansowej — z dumą bowiem możemy stwierdzić iż nadal z nikąd subwencji nie pobieramy — przeciwnie — przychodzimy z pomocą finansową niezamożnym kolegom naszym, współpracującym z nami.

Kontynując z wiarą w nasze zamierzenia, swą pracę, zwracamy się do wszystkich naszych szanownych Czytelników z prośbą, by byli łaskawi nadal nadsyłać pod adresem Redakcji Swe cenne uwagi, bowiem słowa słusznej krytyki cenimy sobie na równi ze słowami zachęty do dalszej pracy.

REDAKCJA

Powaga

wieku

dojrzałego....

i



„Foto-Mysz"



„Foto-Mysz"

beztroska

młodości....

Józef Chojnowski

KRAKÓW — BUKARESZT — SOFIA — KONSTANTYNOPOL

(Praktykanci jadą — wakacje w pociągu)

Jeszcze jeden powrót do okienka. — Jeszcze jeden stempelek, jeszcze jeden i wreszcie uspakające zapewnienie. Zgłosi się Pan na 3 dni przed wyjazdem. Ten okres czasu między staraniem się o paszport a jego wydaniem jest naprawdę konieczny dla zaczerpnięcia świeżych sił przed podróżą, wyniszczonych codzienną „bieganiną paszportową". Jakże zwięźle brzmi definicja dokumentu w porównaniu z tym stosem papierów, który trzeba załączać do podania o paszport. Ale cierpliwość podobno jest wynagradzana. Mam wrażenie, że jest to jednak niemożliwe przy tylu różnych węzłach (pokrewieństwa, powinowactwa, znajomości) łączących surowych urzędników z klientelą. Moja przecież została wynagrodzona, bo punktualnie na trzy dni przed wyprawą miałem paszport w kieszeni i mogłem rozpocząć drugi etap zwany operacjami walutowymi, które wcale nie należą do rzeczy przyjemnych. Proszę spytać o to wszystkich przestępców dewizowych umyślnych a zwłaszcza nieumyślnych. W banku urzędnik dziwił się troszkę że nie biorę całej sumy jaką mogłem wywieść. Nawet zapytał: dlaczego? Przecież wszyscy biorą jak najwięcej. Nie zdradziłem mu tej tajemnicy i chyba już nie zdradzę. Portfel mój tylko znał tajniki mego stanu majątkowego.

Godzina 23^{30}. Na dworze leje tak energicznie jakby to nie był krakowski deszcz. Ten ostatni jest przecież ospały i systematyczny. Ulice opustoszałe lśnią mokrym asfaltem rozpryskującym na sobie promyki



BUKARESZT — Skwer Bratianu



BUKARESZT — Aleja Zwycięstwa

zamglonych latarń. Tylko gdzieniegdzie przemknie auto lub dorożka z koniem człapiącym jednakowo przy pogodzie i na deszczu do taktu łoskotu kół. Smutny był Kraków, gdy z niego wyjeżdżałem. Ale broń Boże nie z powodu mego wyjazdu. Były już wakacje i Kraków był pozbawiony w większej części swych najweselszych mieszkańców tj. młodzieży. Ostatni Mohikanie są jeszcze na dworcu. Kilka wycieczek harcerzy-uczniów opuszcza jeszcze Kraków. Żegnają go wesoło. Przecież i tak wnet do niego powrócą. W pociągu ścisk niemożliwy. Stoję oparty o drzwi trzymając dzielnie walizę na jednej nodze, podczas gdy na drugiej stoi jakaś pani o tuszy w każdym razie większej niż moja walizka i z wdziękiem wykonuje jakieś taneczne ruchy przy kołysaniu pociągu, właśnie na moich nagniotkach. Jedynie myśl o tem, że mam stawić się przyszłego dnia w Śniatynie o 12^{32} żywym czy umarłym podtrzymuje mnie na duchu. Z pewnością w jednym z tych dwóch stanów dojadę. I dojechałam. Nawet żywy chociaż bardzo, bardzo, zmiętoszony.

Już za Lwowem zacząłem okiem detektywa (absolutnie nie mam takiego) wypatrywać wśród pasażerów innych praktykantów. Szczęśliwie znalazłem najbliższych memu krakowskiemu sercu Lwowiaków. Jedziemy dalej już razem, dzieląc się spostrzeżeniami i czemś jeszcze bardziej zmaterializowanym. Stoimy przy oknach i podziwiamy zmiany zachodzące w wyglądzie krajobrazu. Pola falują jeszcze niezżętymi zbożami. Odcień ich im dalej na południe coraz jaśniejszy. Tu i ówdzie przecinają je ciemnozielone plamy lasów i gajów. Okolica sfalowana wydaje mi się dosyć monotonna. Możliwe, że oczekiwanie zagranicznych wrażeń zacierało mi piękno naszych krajobrazów. Świadomość, że tym samym pociągiem jadą koledzy z Krakowa, Poznania, Wilna i t. d. wzbu-

dza we mnie chęć ich poznania. Teraz rozdzieleni na wiele grup, im bliżej granicy poznajemy się stopniowo, skupiamy, by wreszcie przez granicę przejechać już jako jedna tylko grupa i tylko Polaków. Nie wiem dlaczego największą nieufnością darzyły grupy prowincjalne grupę stołeczną. Oprócz tarć organizacyjnych wpływało to także zapewne, że grupa warszawska posiadała w swoim gronie kierownika praktykantów i z tej przyczyny rosła w pobożną dumę. W każdym razie nastrój stale się poprawia, a swój kulminacyjny punkt osiąga w Oraseni już po stronie rumuńskiej, przy objawach apetytu urzędników rumuńskich na polską walutę, jak również przy rewizji jednego rdzennie polskiego obywatela udającego się ze swoją więcej niż połowicą do Pale-styny. Z pewnością żaden Arab nie dotrzyma jej placu. Nie wiem dokładnie czy jest policja kobieca w Palestynie, ale przypuszczam że szkoda takiego materiału dla kobiecych oddziałów. Sądząc z lekkości z jaką wrzucała ciężkie walizy na półki można było mieć nadzieję, że jeden zamach jej wystarczy by wbić Araba w piasek, nawet z wielbłądem.

Rumuńscy urzędnicy z lekko drwiącym uśmieszkiem rozpoczęli rewizję. Przetrząsnęli ich od A do Z. Wagon przybrał niesamowity wygląd. Z walizek, worków wyjmowali celnicy siano i słomę i jeszcze siano i słomę aż wreszcie docierali do jakiegoś ukrytego przedmiotu. Wcale ładny obrazek; Pełna podłoga siana i skacząca na niej ze złości i rozpaczy para uroczych semitów. Urzędnicy nie ukrywali swego humoru Nie odmówili sobie też i osobistej rewizji. I w pobliżu ciała tych ludzi widocznie coś znaleźli, bo wychodzili z brzęczącymi dłońmi, rzekomo po spisanie protokołu.

Potem okolica już jednostajna nie odbiegająca swym wyglądem od południa Polski. Jedynie ta różnica, że niema już stojących zbóż lecz żniwa na ukończeniu. Uwijają się wśród nich postacie rumuńskich wieśniaków o zupełnie czarnych włosach, oczach, ogorzałych twarzach i białych ubraniach złożonych z długiej bluzy niemal do kolan i spodni długich białych obcisłych à la Abisyńczycy. —

Jeszcze w Czerniowcach (Cernauti) nie czujemy zbytnio ducha rumuńskiego. W sklepach posługujemy się polskim językiem i dobrze się porozumiewamy. Tu też dokonujemy pierwszych prób wina rumuńskiego i owoców południowych. Pierwsze nie jest wcale dobre, drugie są lepsze i bardzo tanie. Po parogodzinnym w tym małym na niewysokim wzniesieniu położonym mieście, wyjeżdżamy do Bukaresztu. — Mrok powoli zapada. Nie możemy już zabawiać się odczytywaniem nazw stacji ani oglądaniem krajobrazu. Zapadamy w Nirwanę. Ocknięcie się nie nastąpi aż w Bukareszcie.

C. d. n.

Nina Kulesianka

BAJKA O SŁOŃCU

J. KURKIEWICZ

(Szkice z sanatorium dziecięcego U. J. w Zakopanem)

Jest bajka o słońcu, gdzie ludzie pchani pragnieniem jasności szli . . . . a gdy sięgali celu skuwał ich czar w twardy kamień . . .

Jest inna bajka — o dobrym królu, co kazał słońcu patrzeć w okna wszystkich poddanych — szczęśliwi byli.

Czy taką bajkę może ziścić człowiek? — W marzeniu . . .

Wyciągnięte małe rączęta spragnione gestem palców wołają . . . . słońca!

Z wykrzywionej w podkówkę buzi pada łkające słowo — do słońca!

Koliste oczy szklą się, napływają łzą . . . Czyż nie padnie promień by je osuszyć?

I to jest bajka na ziemi . . .

Ale zbudowali ludzie dom, słońce złapali w białe pokoje, sprosili do tych scian małe nóżęta, by echem rozległ się ich tupot po świecie i krzyczał: jest słońce! Jest życie!!

— — —

Zakopane. Droga do Jaszczurówki. Ludzie przystają przed jasnym domem-pałacem z zapytaniem na twarzy — co to? Gwar dolatujący poprzez drzewa daje odpowiedź . . . ach sanatorium dla dzieci.

Istotnie duży słoneczny dom zbiera w swoich ścianach dzieci z całej Polski, z najodleglejszych Jej zakątków Przywożą z sobą zarodki strasznej choroby by tutaj je zgubić, zdławić. Trawione tęsknotą siły, ich ręce i oczy wołają: w góry, po słońce, po zdrowie — oddechem je czerpią, prężąc na nasłonecznionych balkonach roztupotane zdobywczą siłą nogi.

Mocodajne słońce. Zdrowie dające powietrze.



rys. T. Skowroński

Daleko została ciemna izdebka, daleko pyłem zasnute ulice miasta jak i przykre myśli w rozzłocone błękitne dni. Blada twarzyczka nabrała blasku, oczy żywości, chcą patrzeć, nogi biegać, ręce wieszać się na gałęziach — ach żyć, żyć . . .

Lecz są w tym domu pokoje, gdzie krzyk nóg o tupot, dławi kołdra, gdzie szereg białych łóżek więzi młodość i dzieciństwo a świat zamyka się w lusterku nad usztywnioną gipsem główką — to gruźlica kości. Lata mijają w oczekiwaniu na ten pierwszy raz, gdy stopa dotknie podłogi. Muzyką wydaje się odgłos własnych kroków a twarz podnosi się ku słońcu w niemym dziękczynieniu. Jedynie łza iskrząca się na twarzy jest nikłym dowodem szczęścia owej pierwszej chwili. A potem chodzi się minut piętnaście, a potem dwadzieścia, a potem aż dwie godziny! A potem, potem — kiedyś całe dnie . . . Tymczasem w małem szkiełku nad główką cały świat się zawiera: lasy, góry, kwiaty i trawa po które biegają rozkrzyczane dzieciaki.

Tęczowym blaskiem marzeń igra słońce w lusterku; usztywniona, rozmarzona główka widzi swoje rozbiegane nóżęta po łące — kiedyś może za rok, może za dwa . . . Jak radośnie, jak dobrze, że tak pomyśleć można. Dziecinne usta dźwięczą śmiechem, chuchniętym na lśniącą powierzchnię ale marzenie nie znika, jest — jest ono samo biegające, wesołe.

Jak dobrze, jak dobrze, jak dobrze — dzwoni śmiechem . . .

A gdy się takie dziecko śmieje, niebo się uśmiecha i rozbłękitnia świat w lusterku wpatrzonego w nie dziecka.

— — —

Jest bajka o złym czarodzieju co zrobił lustro, które odbijało ludziom świat krzywy i potworny . . .

Lustro nad usztywnioną główką odbija tęczowe urojenia a te wypełni inny czarodziej — Słońce.



rys. T. Skowroński

Rada przyjaciółki

(Nowela konkursowa)

Udzielenie odpowiedniej rady w pewnych chwilach życia, szczególnie kobiety, posiada często decydujące znaczenie. Niektóre wielkie pisma zagraniczne utrzymują specjalne kolumny, tak zwane „Rady dla czytelników". W niniejszym konkursie zachodzi raczej wypadek odwrotny; w noweli niżej zamieszczonej przedstawiono pewną na pozór bardzo skomplikowaną i tragiczną sytuację życiową, uczestniczy konkursu mają zaś odpowiedzieć na pytanie, umieszczone na końcu noweli. Najmądrzejsza życiowa odpowiedź zostanie nagrodzona i wydrukowana w następnym numerze „Refleksji" W konkursie mogą wziąść udział wszystkie osoby, które nadeślą zamieszczony w niniejszym numerze kupon konkursowy Odpowiedź na pytanie konkursowe nie może przekraczać jednej strony pisma maszynowego (arkusz formatu koncelaryjnego. REDAKCJA

Pani Maria jeszcze raz przygładziła swe lekko falujące szpakowate włosy przed lustrem, uśmiechnęła się żałośnie sama do siebie i nerwowo spojrzała na zegarek; dochodziła godzina szósta. O szóstej spodziewała się gościa. Postanowiła więc zejść już na dół i w gabinecie oczekiwać na przyjaciółkę. Był to najzaciszniejszy pokój w jej willi, ulubiony kącik z wyścielanemi kanapkami, pełny różnych drogocennych przedmiotów, w którym stał również jej ukochany błyszczący fortepianu. Pani Maria opuściła rolety, zapaliła światło i usiadłszy w wygodnym fotelu zaczęła dumać:

„Dzisiaj dopiero będziemy mogły opowiedzieć sobie, co przeżyłyśmy przez te dwadzieścia pięć lat — od chwili, kiedy to przestałyśmy się spotykać w jednej ławce szkolnej . . . Olunia, serdeczna przyjaciółka o jasnych długich warkoczach i dobrem spojrzeniu błękitnych oczu . . sentymentalna, łagodna, rozumna . . . a dzisiaj ta sama Olunia, żona wybitnego naukowca, profesora uniwersytetu i matka trojga dorastających dzieci . . . Uroczo i ujmująco wyglądała jako pani domu na ostatnim przyjęciu, (na którem to pani Maria, wielbiona przez wszystkich śpiewaczka, była uroczyście podejmowaną)".

rys. T. Skowroński

Dzisiaj miały się spotkać, aby opowiedzieć sobie co przeżyły przez ten długi okres rozłąki. Zagłębiona we wspomnieniach pani Maria nie usłyszała ani zajeżdżającego samochodu, ani otwierania

drzwi; zobaczyła panią Olunię stojącą w progu pokoju z wyciągniętymi do serdecznego uścisku ramionami.

Usiadłszy naprzeciw siebie przyglądały się sobie przez chwilę.

— „Bezlitośny czas nie oszczędza nikogo myślała pani Olunia, zauważywszy siwiejące włosy pani Marii i przywiędłą cerę, zmęczoną nerwowem życiem i charakteryzacją teatralną, choć zgrabna jej figura tchnęła urokiem i elegancją".

— „Olunia — myślała tymczasem pani Maria — przytyła trochę, może nawet za dużo, a choć ciągle złote włosy zczesuje teraz do tyłu, oczy ma te same — dobre i łagodne, tylko może trochę zmęczone. No i zmarszczki koło ust dodają jej lat . . . "

— — —

— „Opowiedz mi wszystko, Mario, co działo się z tobą od chwili gdy zapisałaś się do konserwatorium. Życie twoje musiało być jedną wspaniałą, rozśpiewaną bajką?"

— „O sobie mam tak mało do powiedzenia rzekła pani Maria — że zdziwisz się zapewne. Będę myśleć przed tobą głośno, jak często to robię w tym oto pokoju . . .

Pamiętasz tę radosną chwilę, kiedy to świat stanął przed nami otworem, gdy nawet profesorowie uznali nas za dojrzałe. Wtedy to już śpiewałam dużo i marzyłam o scenie. Zapisałam się też wtedy do konserwatorium i solidnie pracowałam przez trzy lata. Głos moj stawał się z każdym dniem silniejszym i dzwięczniejszym — zaczęłam śpiewać na różnych koncertach szkolnych jako solistka, wreszcie szkoła wystawiła „Cavaleria rusticana" i dano mi rolę Santuzzy. Był to dzień najwspanialszy w moim życiu. Z radości zapomniałam o tremie, tak, że podobno śpiewałam wspaniale, wczuwając się w tragiczną rolę bohaterki . . . Sukces odniosłam nadzwyczajny — zostałam zaangażowaną do opery, gdzie śpiewałam dwa lata. Potem wyjechałam zagranicę i śpiewałam we wszystkich wielkich operach. Jestem obecnie kobietą sławną, bogatą, wytworną i wolną, — czyż mogę pragnąć jeszcze czegoś?"

Pani Olunia spojrzała na zadumaną twarz przyjaciółki i rzekła:

— „Nie jesteś tylko... szczęśliwa Mario. Widzę wielki smutek w twych oczach . . . Powiedz mi, co ci dolega! Odsłoń swą duszę jak zawsze to robiłaś przed laty . . . Brałaś mnie wtedy za rękę — dodawało ci to odwagi i opowiadałaś mi patrząc prosto w oczy. Mówiłaś, że oczyma łagodzę smutek . . . Usiądz przy mnie, o tutaj — i mów! Mam teraz więcej doświadczenia. Jestem żoną, matką, dużo widziałam i słyszałam, i często cierpiałam za siebie i swych bliskich.

— „Trudno jest mówić — zaczęła pani Maria — gdy człowiek

czasem boi się nawet swoich myśli. Nie zwierzam się nigdy. Uważam, że tylko ludzie słabi zwierzają się ażeby przez wywołanie współczucia zwrócić na siebie uwagę. Tym razem, ponieważ wiesz, że jestem silna — odstąpię od zasady . . .
W swem długim życiu popełniłam jeden wielki błąd; myślałam, że jestem tylko śpiewaczką a zapomniałam o tem, że jestem również kobietą! Zapomniałam, że mam serce i zmysły! Widziałam tylko operę pełną ludzi i słyszałam tylko swój śpiew i oklaski; rozkochana w echu własnego głosu, podczas ulubionych mych arii wpadałam w trans i dopiero głośny zachwyt publiczności przywracał mi pełnię świadomości. Dzisiaj mam lat czterdzieści i trzy . . . nie jestem jeszcze kobietą starą. Mam dużo pogody ducha i miłą powierzchowność — ale jestem za starą ażeby myśleć o miłości . . . Dziś to zrozumiałam, że głos mój ma dobrą akustykę odbijając się o pustkę mego życia . . .
Byłam jak to cacko — o tam na stoliku — cenną bezduszną figurką, którą podziwiają goście. Nikogo nie kochałam i nie jestem kochaną. Ileż dałabym za to, ażeby mieć taką córeczkę jak ty . . . jakże chciałabym mieć te wszystkie obowiązki, cierpienia i radości, które ty ze swoimi przeżywasz . . . Wtedy wiesz, że żyjesz . . . Tęsknisz czasem za chwilą spokoju, ale gdy trwa ona dłużej, jak bardzo musisz się cieszyć, gdy usłyszysz głos swoich najbliższych albo tupot nóżek dziecięcych . .
U mnie jest stale cisza i pustka! Gdy jest mi bardzo źle, zaczynam grać i śpiewać; głos mam jeszcze dobry ale przed piętnastu laty był jednak piękniejszy. Zaczynam powoli odchodzić w cień — są już inne, młode o pięknym głosie i świeżej urodzie. Czy wiesz, co to znaczy dla śpiewaczki zdać sobie z tego sprawę, że schodzi ze sceny? I to nie tylko ze sceny teatru ale i sceny . . życia . . . ?
Nie! Ty tego nie możesz zrozumieć! Ty, choć będziesz staruszką, będziesz patrzała na dalszy ciąg twego życia w twych dzieciach, będziesz im potrzebna, bo oni cię kochają . . . . "
— „Nie mogę w to uwierzyć — przerwała pani Olunia — ażeby ciebie nikt nie kochał i ażebyś ty nikogo nie kochała! Nie przeżywałaś nawet żadnych snów, snów o miłości? Nie chciałaś wyjść zamąż?"
— „Owszem, byłam kochaną przez mężczyzn różną miłością. Miałam dwa miłosne przeżycia. Jednego może nawet kochałam . . . Był mądry i przystojny, miał duży majątek na wsi, kochał mnie i podziwiał. Zaprosił mnie do siebie, więc pojechałam na wypoczynek do niego. Przeżyliśmy tam uroczą bajkę miłosną, wśród kwiatów i zieleni na tle starego pałacu.

Po dwóch miesiącach zaczęłam jednak odczuwać tęsknotę za sceną . . Nie wystarczały mi moje pieśni i jego uznanie. Nie chciałam mu o tem mówić, gdyż czułam jak przykrem będzie rozstanie . . aż raz, w piękną sierpniową noc . . powiedział mi, że mnie już nie puści od siebie i że zostanę jego żoną . . że będę zawsze z nim . . pamiętam jak mówił „będziesz panią mego serca i pól złotych . . " . .
Trudno mi było wytłomaczyć mu, że choć go bardzo kocham, nie mogę wyjść zamąż. Że nie potrafię żyć bez wielkiej opery, że tak przesiąkłam atmosferą teatru jak morfinistka morfiną . . i że śpiewaczka musi być wolną kobietą . . .
Po paru dniach wyjechałąm do stolicy. Pożegnaliśmy się jak dwoje przyjaciół i nie widziałem go od tego czasu więcej.
Tęskniłam nawet później za nim . . szukałam go ale gdzieś wyjechał nie zostawiwszy adresu.
Ten drugi — ot była to zwykła przygoda miłosna, kiedy to w podróży całkiem przypadkowo spotka się dwoje młodych ludzi, którzy traktują siebie wzajemnie jako zabawkę, a potem gdzieś pod gorącem niebem południa rodzi się miłość czy szał a może tylko sentyment ustrojony w piękne południowe kwiaty i ogrzany gorącem słońcem . . . Przy rozstaniu parę serdecznych uścisków dłoni, wymowne długie spojrzenia, dziękujące za przemiłe chwile spędzone razem i odjazd bez żalu . . z pięknymi wspomnieniami
Widzisz z tego jak wielką swego głosu byłam niewolnicą . . .
Nie mogę żałować tego co minęło, gdyż nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Zawiniłam sama, więc sama muszę odbywać karę . . .
Widzisz jak mało miałam do powiedzenia — choć nie widziałyśmy się tak długo . . Mogę ci opowiadać jeszcze o krajach które widziałam. O ludziach nie . . gdyż wszyscy byli właściwie dla mnie jednakowi; grzeczni, pełni entuzjazmu i uwielbienia . . Ty, choć podróżowałaś tylko od czasu do czasu, miałaś napewno życie bogatsze od mego . . Przedzierałaś się wraz z twym mężem przez życie; nieraz musiałaś go podpierać i podziwiać, płakałaś z radości, gdy został odznaczony lub wyróżniony za swą pracę, stawiałaś pierwsze kroki ze swemi dziećmi i chodziłaś razem z niemi do szkoły . . Uczyłaś ich wiary w Boga i miłości . . byłaś kobietą jakich są miliony na ziemi i jesteś napewno szczęśliwsza odemnie, o której mówiono, że jestem jedyna . . . jedyna i cóż mi z tego . . .
Będę dalej żyła w swej samotni, odejdę sama ze sceny, będę śpiewać tylko dla siebie i czasem dla swych gości, a gdy już będę całkiem stara — skolekcjonuję wszystkie swoje płyty na-

grane w czasie rozkwitu mego głosu i będę wsłuchiwać się jak w echo bardzo odległe ale jednak tak bardzo mi do życia potrzebne" — zakończyła cicho pani Maria. —

Pani Olunia zamyśliła się głęboko. Gorąco pragnęła poradzić przyjaciółce, lecz zdawała sobie sprawę z tego, jak trudno to będzie . . .

Milczały obie przez dłuższą chwilę, jak gdyby zasłuchane w monotony dźwięk zegara, który głośnem tykaniem wybijał mijające minuty . .

Wreszcie pani Olunia zaczęła mówić z dziwną mocą:

— „. . . . .

— — —

Pytanie konkursowe brzmi:

Opierając się na przedstawionych w niniejszej noweli sylwetkach psychicznych obydwu kobiet odpowiedzieć: **czy pani Olunia mogła coś poradzić swej przyjaciółce, a jeżeli tak, to co jej poradziła?**

M. M.

Tramp

Na stopach niesie pył wielu dróg,
A w oczach odblask morskich fal . .
Wkrąg Natura — na niebie Bóg . .
Z oddali idzie — dąży w dal —

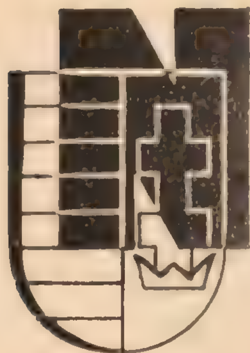


„Foto-Mysz"



Krakowskie Wesele

ZESPÓŁ KRAK. MŁODZIEŻY



a zaproszenie węgierskich stowarzyszeń młodzieżowych w pierwszych dniach sierpnia wyjechał na Węgry zespół krakowskiej młodzieży akademickiej, zorganizowany przez Dr Janusza Harajdę, lektora języka węgierskiego U. J. Kierownictwo artystyczne zespołu, na którego program składały się polskie tańce i pieśni ludowe, spoczywało w rękach Elwiry Czech - Kamińskiej, nadto w charakterze solistów zaproszono Stefana Romanowskiego, artystę operowego i prof Franciszka Skołyszewskiego, pianistę wirtuoza.

Pierwszym etapem występów grupy polskiej młodzieży było miasto Szeged, gdzie Polacy byli gośćmi uniwersyteckiego chóru szegedyńskiego. W Veszprém podejmowała Polaków akademicka korporacja Turul, w Balaton Szántod zaś letnia kolonia akademicka. W Keszthely nad Balatonem przyjmował młodzież krakowską uniwersytet letni, zorganizowany przez Wszechnicę w Pécs, w Budapeszcie i Székesfehérvar miejskie wydziały kultury i sztuki.

Występy polskiej młodzieży cieszyły się wszędzie wielkim uznaniem i frekwencją publiczności. Prasa węgierska całego kraju z zachwytem podnosiła wysoki poziom artystyczny produkcji tanecznych, werwę



Kujawiak

AKADEMICKIEJ NA WĘGRZECH

i temperament wykonawców, szczególnie entuzjastyczne wzmianki poświęcone były kujawiakowi, wykonanemu wyłącznie przez panie, krakowskiemu weselu i mazurowi. Miłą niespodzianką bywał stale dla Węgrów czardasz, wykonywany przez Elwirę Czech Kamińską i Barbarę Wiśniewską. Prasa Szegedu, gdzie miejscem występu była słynna na całą Europę scena szegedyńskiego teatru letniego, położonego na placu Katedralnym, z właściwym Węgrom entuzjazmem pisała: „Ci pełni werwy artyści-studenci wnieśli do swych tańców tyle siły, finezji i wartości artystycznych, że nietylko stali się godnymi tego miejsca, gdzie występowali, lecz mogą być jego ozdobą“ (Szegedi Napló).

Niemniejsze sukcesy odnosili soliści: Elwira Czech-Kamińska (pieśni ludowe polskie i węgierskie), Stefan Romanowski (pieśni Galla i Karłowicza) i Franciszek Skołyszewski (utwory Szopena).

Występy zespołu krakowskiej młodzieży były stale okazją do manifestacji przyjaźni polsko węgierskiej i zbratania młodzieży obu krajów. W szeregu miast (Szeged, Veszprém, Székesfehérvar) Polacy złożyli wieńce na grobie Nieznanego Żołnierza i wymienili pamiątkowe proporce z organizacjami młodzieży węgierskiej. Wycieczkę tę należy niewątpliwie uznać za udaną imprezę prapagandy polskiej kultury ludowej zagranicą.

Mgr Witold Zbierowski

Stefan Leacock

Humor amerykański (z „American Diggest“)

DOKTÓR i maszynka

J KURKIEWICZ

Za staromodnych czasów, jeżeli ktoś zachorował, to szedł do lekarza domowego i mówił mu, że jest chory. Doktór dawał mu flaszeczkę z lekarstwem. Na flaszeczce było napisane: „Zażyć trzy razy dziennie z wodą“. Pierwszego dnia piło się to trzy razy, drugiego dnia dwa razy, a trzeciego dnia jeden raz. Czwartego dnia zapominało się zażyć lekarstwa. To nie miało jednak już znaczenia, gdyż w międzyczasie chory czuł się zupełnie dobrze.

Bardzo często skoro chory odszedł, lekarz rozsiadał się wygodnie, zapalał fajkę i medytował, co to właściwie brakuje osobnikowi, który sobie właśnie poszedł. Czasem doktór nabierał podejrzenia, że człowiek ten był rzeczywiście chory. Nigdy jednak tego podejrzenia nie wyjawiał. Dopiero kiedy chory czuł się znowu zupełnie dobrze, lekarz objaśniał go, jak poważną przeszedł chorobę.

Dzisiejszy modny, nowoczesny lekarz patrzy na chorego nie jak na człowieka, lecz jak na skomplikowaną maszynkę, która prawdopodobnie bardzo kiepsko funkcjonuje. Oczywiście chce się wziąść do jej naprawienia.

Maszynka ubrana w alpakowy garnitur, siedzi skurczona w fotelu, w gabinecie doktora. Biedną istotę pożera coś w rodzaju paniki wewnętrznej, ale stara się udawać odwagę, jak najlepiej potrafi.

Doktór powiada: „Trochę trudno dokładnie powiedzieć, co to jest za zaburzenie“. Przeprowadził na chorym szereg wstępnych badań, pukając i słuchając. — „Nie powiedziałbym, że mi się to serce bardzo podoba“, dodaje i wpada w milczącą zadumę. — „Tak“, ciągnie dalej,

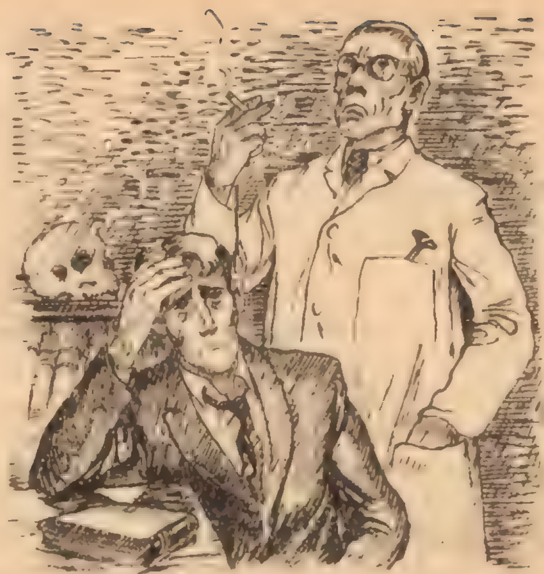


Rys. T. Skowroński

budząc się z marzeń, „objawy te nie podobają mi się, wogóle mi się to nie podoba". Maszynce też się nie podoba, ale nic nie mówi.

„Być może", powiada doktór, „że to jest ankyloza". Maszynka nie wie, ani co to jest ankyloza, ani co ona ma za znaczenie. Jednak sam dźwięk tego słowa wystarcza mu zupełnie.

„Bardzo być może", powiada doktor, jakby olśniony inną wielką ideą, która mu przyszła na myśl, „że mamy tu infiltrację na proscenium".



Rys. T. Skowroński

Prawdopodobnie wyrazy powyższe nie zupełnie oddają terminy lekarskie, którymi się lekarz posługuje. Dla ucha maszynki mają one jednak takie brzmienie.

„Wobec tego musimy obserwować, aż zobaczymy, co znajdziemy. Powiada pan, że pan nigdy nie miał wścieklizny?"

„O ile sobie przypominam, nie miałem".

„To ciekawe. Objawy zupełnie przypominają wściekłiznę. Albo może to jest hendiadis".

Doktór zastanawia się jeszcze przez chwilę, potem zaczyna pisać na drobnych kawałkach papieru.

„W porządku", powiada serdecznym głosem,„ zastosujemy wszelkie sposoby, aby rzecz wyjaśnić".

Wypisuje małe polecenie do rentgena, dla analiz krwi, dla prób serca.

„A teraz", powiada na zakończenie, „niech się pan nie obawia. Pan może nagle skończyć na ulicy. Ale to mi się wydaje mało prawdopodobne. Możliwe, że pański mózg pęknie i otworzy się na boki. Ale nawet, gdyby się to stało, to niema powodu do obaw. Gdyby panu oczy wypadły na ulicy, to niech mnie pan zawiadomi".

Powyższe słowa może niezupełnie oddają przemowę doktora, jednak wrażenie jakie przemowa wywarła, odpowiada im całkowicie.

„Dam panu znać", powiada maszynka.

„A teraz" mówi doktór, który w międzyczasie rozpalił się do przypadku i pełen jest artystycznego zainteresowania, „co do djety, to myślę,

że najlepiej, abyś pan wogóle nic nie jadł — tak mniej więcej przez miesiąc. I niech pan nie pije. I o ile możności zaprzestać palenia — i najlepiej by było, gdybyś pan nie spał".

„Przedewszystkiem jednak", kończy z nagłym wybuchem genialności, „niech pan unika zmartwień. Wprawdzie pan może każdej chwili skończyć, ale niech się pan tem nie przejmuje. Pan może umrzeć nagle w taksówce, ale nie widzę powodu do niepokoju, gdyby to się stało. Niech pan przyjdzie znowu za tydzień, to pokażę panu zdjęcia rentgenowskie".

Kiedy maszynka przychodzi ponownie, zastaje lekarza kołyszącego się z zaciekawieniem. „Popatrz pan", powiada lekarz trzymając pod światło kilka płyt rentgenowskich. „Widzi pan tę zamazaną plamę, tu właśnie między encefalon a encyklopedią"?

„Co to takiego"?, pyta maszynka.

„Jeszcze nie wiem", powiada doktor. „Jeszczę nieco za wczas, aby to powiedzieć. Ale będę dalej obserwował. Jeżeli pan nic niema przeciwko temu, to myślę, że prawdopodobnie otworzymy pańską głowę i zaglądniemy do środka. Oni teraz robią cudowne rzeczy przy usuwaniu mózgu. To jest niezła operacja, lecz sądzę, że będę musiał zaryzykować. Zawiadomię pana. Tymczasem mam nadzieję, że pan posłuchał naszych przepisów i że pan nic nie je".

„Nic nie jem". — „I nic pan nie pije, ani pan nie pali"?

„Nic" — — — „To dobrze. W porządku. Za dzień lub dwa będziemy więcej wiedzieć. Tymczasem dostanę pańską krew i sekcję pańskiego serca i myślę, że wtedy zaczniemy wiedzieć, gdzie jesteśmy. Do widzenia".

Mniej więcej za tydzień doktór powiada do swej sekretarki: „Ta maszynka w alpakowym ubraniu miała zdaje zgłosić się dziś rano"?

Sekretarka zagląda do notatnika: „Tak jest, zdaje się, że miał być dzisiaj".

„Dobrze, to niech pani do niego zatelefonuje. Nie potrzebuje przychodzić. Przeglądnąłem wszystkie wyniki analiz szpitalnych. Nie mogą niczego złego u niego znaleźć. Przy sposobności niech mu pani też powie, bo go to ubawi, że owo zamglenie na zdjęciu rentgenowskiem, które wyglądało jak ognisko w mózgu okazało się błędem w szkle kliszy. On się z tego dobrze uśmieje".

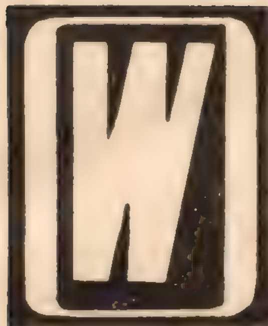
Sekretarka znika w kabinie telefonicznej. Po chwili wraca. „Połączyłam się z jego mieszkaniem" powiada, „ale oni mówią, że ten pan umarł. Zdaje się, że sobie poodkręcał kurki od gazu w sypialni".

„Cyt, cyt" powiada doktór, mania samobójcza! Całkiem zapomniałem kazać zrobić analizy w tym kierunku".

Mgr Julian Haraschin (Kraków)

ŻOŁNIERZ - ARTYSTA

„Wspomnienie o artyście - rzeźbiarzu śp. Włodzimierzu Wrzos-Koniecznym, poruczniku I-szej Brygady Legionów Polskich".



iele, bardzo wiele wspomnień nasuwa się z lat wielkiej wojny, ale nad wszystkim góruje niezapomniany dzień wymarszu Strzelców-Legionistów z Krakowa dnia 6-go sierpnia 1914 r. Najpiękniejszy to dzień, bo wówczas porwała się cała Polska do walki o swoją wolność.

Dziś, kiedy mamy wolną Ojczyznę i czcimy wiekopomne czyny Komendanta, godzi się wspomnieć i o tych, którzy byli Mu bliscy razem z Nim wyruszyli, a nie danym im było dożyć dnia chwały, bo młode swe życia złożyli na Ołtarzu Ojczyzny.

Takim był śp. por. Włod. Konieczny należący do nieśmiertelnej trójcy legionowej: śp. kpt. Herwin - Piątek, śp. mjr Młot-Parczyński, śp. por. Wrzos - Konieczny.

O Wł. Koniecznym niepodobna pisać tylko jako plastyku i grafiku, lecz równocześnie staje przed nami człowiek i poeta. Nie pozostaje mi więc nic innego jak użyć wszystkich danych, które mogą dopomóc do odtworzenia wizerunku duchowego niezwykłej indywidualności Wł. Koniecznego, tymwięcej, że nie bogata na ilość, ale wszechstronna jego twórczość artystyczna była równie dobrze wyrazem jego wewnętrznego życia, jak i praca jego przed wojną w organizacji Strzelca, a w końcu służba frontowa w Legionach i sama śmierć w okopach. Życie i sztuka spłotły się w jego duszy z nierozerwalną całość. Całe jego życie było wzniosłe i piękne, było tym, czym w życiu przeciętnego „zjadacza chleba", bywają tylko rzadkie, odświętne chwile ekstazy miłosnej, religijnej, lub estetycznej.



Sł. Wyspiański Włodzimierz Konieczny

Największą stratą dla sztuki była śmierć Wł. Koniecznyego. Zamiarami i polotem przypominający nieco swego przyjaciela Stanisława Wyspiańskiego i podobnie jak on wszechstronny, pozostawił Wł. Konieczny najpiękniejsze zapowiedzi w rzeźbie, malarstwie i poezji.

Mówi przepięknie a przedziwnie o Wł. Koniecznym jego ówczesny przyjaciel Stefan Żeromski w dziele p. t. „Snobizm i Postęp": „Zazwyczaj cała niezwykłość, fenomenalność duszy pisarza w piśmie jedynie się uzewnętrznia. Strumienie poezji przepływają przez niego lecz on sam nie jest poezją. Daleko rzadszym jest zjawisko człowieka, któryby sam był niejako utworem poetyckim. Gdy dziś spoglądać na życie Wł. Koniecznego to może się wydawać, iż on tajnym widzeniem swoim miał świadomość, że życie jego jest bardzo krótkie i dlatego, podkładów swej duszy nie może na lata rozłożyć, skarbu swego na drobne rozmienić i mieszać świętości z brudem. W nim żyło ciągle święte dziecko. Zachwyt jego był wciąż pierwotny i taki sam w uniesieniu".

Pozwoliłem sobie zacytować część ustępu z książki St. Żeromskiego, gdyż słowa powyższe wypowiedziała prawdziwa przyjaźń. A myślę, że właśnie bezinteresowna przyjaźń przenikliwego znawcy i rzeźbiarza ludzkich serc, jakim był Żeromski, najlepiej ocenić umiała bliską sobie duszę.


Legionista (bronz, 1916)

Wł. Konieczny urodził się dn. 26 lutego 1886 r. w Jarosławiu. Szkoły początkowe i gimnazjum ukończył we Lwowie. Rok 1903 zastaje 17-letniego chłopca na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Tu studiuje pod kierunkiem prof. Laszczki rzeźbę, a pod kierunkiem prof. Pankiewicza grafikę. Ten akademicki okres jego życia da się scharakteryzować jako okres wytężonej pracy i nieustannej walki o życie. Uzyskane stypendium Urbańskiego, udzielane przed wojną tylko najwybitniejszym artystom wychodzącym z Akademii, umożliwia mu wyjazd do Paryża. Z prac wykonanych w Paryżu niewiele, zaledwie kilka dowiózł artysta do kraju. Większość rzeźb i projektów pozostać musiała w Paryżu, w jakimś biednym pokoiku na 4 lub 5 piętrze, wyrzucona zapewne wnet po wyjeździe artysty na śmietnik przez trzeźwego conciergéa. Że tak było, wnosić należy stąd, iż Wł. Konieczny znanym był w kole swych przyjaciółek z absolutnej niefrasobliwości w stosunku do wykonanych przez siebie prac rzeźbiarskich. Był

jak ptak co leci wzwyż i przed siebie, nie troszcząc się o wyśpiewane przez siebie pieśni i pogubione w locie pióra.



Część projektu Antepedjum ołtarzowego

Rozwój Koniecznego — rzeźbiarza szedł niewątpliwie drogą od realizmu do własnej formy, może do klasycyzmu, jeżeli mam już użyć określenia przyjętego i zrozumiałego dziś ogólnie. Jego wewnętrzne przeżycia i emocje znajdowały ujście nietylko w rzeźbie, ale i w poezji i w grafice, a niemniej też w działalności poza sztuką.

W rzeźbach Koniecznego dominuje wyraz rozmarzenia, ciszy i modlitewnej ekstazy. Oto Madonna „Immaculta", postać dziwicza, łaski pełna i czystości, pnąca się wzniesionymi rękoma ku niebu. Ta postać dziewicza rwąca się w modlitewnej ekstazie z wysiłkiem do Boga, gdy ciało jej smukłe, silne i zdrowe więzi ją i skuwa z ziemią — czyż nie jest to treść życia Koniecznego, wyraz staczanej co dnia walki ducha z uporną i ciążącą ku ziemi materią, z brutalnym realizmem życia?

Kompozycję stworzoną ku czci Zygmunta Krasińskiego tworzą trzy dziewczęta, niby trzy psalmy. Trzymając się za ręce, płyną te postacie tanecznym, lekkiem krokiem przed siebie ku światłu, które je z góry rzęsistą oblewa falą. Osobliwą pięknością odznaczają się ozdoby graficzne, wykonane przez Koniecznego do jubileuszowego wydania książki K. Przerwy-Tetmajera p. t. „Na skalnym Podhalu". Tajemnica tej piękności tkwi w niezwykle subtelnym i głębokim zrozumieniu Tetmajerowskich powieści i podkreśleniu ozdobą uroku, monumentalnej prostoty, którym się to dzieło K. Tetmajera odznacza. Ostatnim dziełem rzeźbiarskim Koniecznego jest ofiarowany Komendantowi Piłsudskiemu przez 2-gi pułk strzelców I szej Brygady, postumencik legionisty. Na rzeźbie tej modelowanej w okopach na kilka miesięcy przed bohaterską śmiercią, wyraził się okrutny realizm wojny męskim i realistycznym modelunkiem. Rzeźba ta po dziś dzień stoi na biurku w Belwederze. Myśl o znikomości indywidualnej sławy i jednostkowego, oderwanego od zbiorowego pnia i zbiorowej pracy — wysiłku, a natomiast o nieśmiertelnej wartości i wielkości zbiorowej ludzkiej pracy niezależnie od patentującej i gloryfikującej często mierność historii, widać szczególnie uporczywie nurtowała w duszy artysty, gdyż powtarza się ona w dramacie „Stra-

ceńcy". Zawiera on szereg scen z walk i życia obozowego Lissowczyków. W dramacie „Wieczny Budowniczy" stwierdza Konieczny jeszcze dobitniej wysoki cel swej twórczej tęsknoty i społeczny sposób pojmowania ludzkiej pracy. Każda ze scen jego dramatów, to pełna barwnego życia, — wizja. Jestem głęboko przekonany, że sceny te, gdyby przeszły przez ręce zdolnego inscenizatora, którýby umiał obejść się z nimi z pietyzmem, mogłyby stać się niepowszednim nabytkiem w ubogim, współczesnym repertuarze scen polskich.

Siedząc któregoś dnia w Luwrze przed posągiem Samotrackiej Nike, skomponował Konieczny wiersz. Śmiano się wówczas z owego wiersza, że jakimże to sposobem Nike mogła ucałować go w usta nie posiadając głowy? Lecz, widać, dla niego jedynego czarująca Nike posiadła, przywdziała na ramiona istotną swą głowę i pocałowała go w usta. Ten tylko wiersz napisał, a całe w nim życie. Jedyna spowiedź, a tak powszechna, iż wszystko wyraziła.

Gdy nadeszła wojna, Wł. Konieczny wyrusza odrazu w pole z pierwszą kompanią Strzelców z Oleandrów. Był w kilkunastu bitwach. Chwalił wojnę, nazywając ją dalszym ciągiem swego artyzmu. Mówiono, że był nieulękłym żołnierzem i wybitnym oficerem. Twierdził ze śmiechem, że nie imają się go kule, a bagnety omijają. Lecz w ostatniej z rzędu bitwie na Wołyniu, kędyś w rowach strzeleckich, mężnie broniąc swego stanowiska, zakłuty został bagnetami przez moskiewskich sołdatów, a wraz z utratą swego posterunku wrzucony do wspólnego dołu i niewiadomo wcale gdzie jest w wołyńskiej ziemi jego mogiła.

Czyżby to właśnie przyszedł dlań dzień męskiego triumfu i wyzwolenia w owym znojnym dniu lipcowym 1916 roku, dniu śmierci bohaterskiej na polu chwały? Znalazł wreszcie marzyciel dla swej tęsknoty i pracy życia, ostateczne dopełnienie.

Tam — kędyś — Samotracka Nike ucałowała go w usta . . . .

Źródła: *Stefan Żeromski:* Snobizm i Postęp
Przecław Smolik: Wł. Konieczny



„SOBEK ZBÓJNIK"

Drzeworyt

Jan Kurkiewicz (Kraków)

M. M.

SERENADA

Och! upojnie granatową,
Brylantową, cudną nocą —
Gdy poświatą księżycową
Krople rosy się wyzłocą —

Słowik — wielbi śpiewnym tonem
Srebrnookich gwiazd plejadę . . .
A Don Jose pod balkonem,
Gra mi słodką serenadę . . .

Stoję drżąca i stęskniona
Róży pąk objąwszy dłonią . . .
I wyciągam w mrok ramiona,
Gdzie gitary struny dzwonią . . . . .

A gdy niebo się zapłoni
I zawita blady ranek —
Zwiędnie róża w sennej dłoni
I — odejdzie mój kochanek . . .

A. D.

KOCHANIE . . .

Gdy patrzysz na mnie dobremi oczyma,
To zapominam, że ludzie są źli,
I zdaje mi się, że nikogo nie ma . . .
Tylko ja jestem i Ty.

Gdy weźmiesz me ręce w swoje ciepłe dłonie,
To zapominam, że mi zimno było . . .
I chciałabym wtedy uczuć ciepło Twoje
W mem sercu, by mocniej zabiło . . .

Gdy mnię tak blisko przytulisz do siebie
To wiem, że złego nic mi się nie stanie
Cieszę się wtedy, że mam znowu Ciebie
I że mogę Cię nazwać serdecznie:

— — — — — — — — KOCHANIE!

Juliusz Sędek

KRESY PŁONĄ

We wspaniałej auli uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie wiszą pokrajane portrety polskich rektorów. Portrety te, w wandalski sposób zniszczone przez młodzież ukraińską w 1907 r., są i dziś najwymowniejszą ilustracją zaognienia na wschodzie. Uzupełniają ją mordy polityczne, poczynając od namiestnika Andrzeja Potockiego, przez kuratora Sobińskiego, Hołówkę, Pierackiego, kończąc na funkcjonariuszach policji. Alarmuje nas od czasu do czasu prasa o wykrywanych spiskach przeciwpolskich, o silnej i wzmagającej się działalności gospodarczej, a także kulturalnej żywiołów ukraińskich. Wszystko to razem wzięte, łącznie z umiejętną propagandą, wytworzyło niebezpieczną w społeczeństwie polskim psychozę. Wprawdzie jednomyślnie krytykujemy politykę naszych władz, ale popełniamy też i sami błędy.

Zaczynają się pojawiać coraz częściej z polskiej strony publikacje, które przez swoją argumentacje przewyższają wprost ukraińską interpretację historii i obecnych zjawisk, nie wnosząc w konsekwencji nic, poza podważaniem polskiej siły moralnej, wypływającej z przekonania o odwiecznym prawie Narodu Polskiego do wszystkich ziem objętych obecnymi granicami.

Wspominamy na wstępie drastyczne fakty ze współżycia obywateli polskich w województwach wschodnich nie dlatego, by nas i tamtejszą ludność miała nazawsze rozdzielić pamięć krwi przelanej i nienawiść, lecz, by z doświadczenia dnia wczorajszego logicznie wyciągnąć wnioski. Powszechna opinia polska, mówiąc o kwestii ukraińskiej, zwykła upraszczać sobie zagadnienie obejmując nim nieomal 7 wschodnich województw, które stanowią 47 % ogólnej powierzchni Polski, z 1/3 ludności.

Zagadnienie jednakże w świetle cyfr wygląda nieco odmiennie, co oczywiście nie poprawia w niczem sytuacji. Wprawdzie szowinistyczne czynniki ukraińskie pragnęły przed wojną i pragną obecnie stworzyć wspólny front walki z polskością, jednakże o zwartym, prężnym ruchu ukraińskim mówić można tylko na terenie województw południowo-wschodnich i Wołynia, gdzie żyje 68.4 % Rusinów. Polesie ma ich zaledwie 4.7 %, lecz choć żywioł polski jest liczebniejszy i tu w pozostałych wschodnich województwach: Wileńskie 59.7 %, Nowogródzkie 52.5% Polaków, coraz częściej spotykamy się z ostrymi, samodzielnymi przejawami działalności antypolskiej ze strony litewskiej i białoruskiej.

W sukurs Białorusinom, prowadzącym na odcinku kulturalnym ożywioną działalność, przychodzi patriotyczny „Robotnik", rozdzierając szaty nad polską niesprawiedliwością, z drugiej zaś strony tajne szkoły litewskie finansuje Kowno.

Niechętnie wnioskujemy na podstawie cyfr, gdy tymczasem one prowadzą do rewelacyjnych wyników. Cyfry mówią o silnym przyroście

naturalnym ludności prawosławnej, jeszcze obecnie w swej masie biernej, ale będącej przedmiotem stałej, antypolskiej agitacji mniejszościowej, przy równoczesnym słabnięciu przyrostu polskich elementów.

Statystyka wykazuje, że: 1) stosunek ludnościowy będzie wzrastał na korzyść Kresów, 2) że będzie tam więcej młodzieży, 3) że ta młodzież będzie coraz bardziej w swym składzie niepolska. Ona więc jako liczniejsza będzie nadawać ton polskiemu życiu.

Na tym tle rozwijające się procesy, którym nie przeciwstawiamy akcji wychowawczej, stanowią potężne niebezpieczeństwo.

Wspólność losów historycznych ludności zamieszkałej od wieków na ziemiach polskich wytworzyła jeden naród, o jednej polskiej kulturze. Nie zna żadnej łączności historia księstw ruskich z dzisiejszym ruchem ukraińskim. Niedźwiedzią oddają przysługę ci, którzy naciągając historię, chcą się koniecznie dopatrzeć ciągłości historycznej między obcym ruchem ukraińskim a minionymi wiekami. Twórcą koncepcji odrębnego narodu „ukraińskiego" był Polak z pochodzenia, Włodzimierz Antonowicz, nauczyciel Michała Hruszewskiego, ideologa ruchu ukraińskiego w latach 1870. Romantyzm, poszukujący tematów w podaniach i pieśniach ludowych, stworzył warunki dla swoistej literatury. Dalsze tworzenie odrębnej kultury na polu literackim i artystycznym jest prostą konsekwencją zajętego stanowiska politycznego. Nie zmienia to naturalnie obecnego stanu rzeczy, który musi być dla nas podstawą.

Rozbudzona nienawiść do Polaków podsycana przynosi akty najostrzejszego teroru, ale co ważniejsza, była motorem dla oświatowej działalności „Proświty" i Tow. Pedagogicznego. Przed wojną ich działalność wyrażała się ponad 30.000 członków, ponad 2 tysiącami czytelń ludowych, około 200 chórami chłopskimi i tyluż zespołami teatralnymi, kilku seminariami nauczycielskimi, kilkunastoma bursami, kilkoma katedrami na uniwersytecie lwowskim. „Sokół" ruski 30 tysiącami członków przygotowywał siłę zbrojną;

„Silskij Hospodar", Towarzystwo Asekuracyjne „Dnister", Związek Spółdzielni Mleczarskich i Gospodarczych budowały gospodarkę; 400 sklepów wiejskich, 200 kas pożyczkowych, 100 śpichlerzy, 300 towarzystw zarobkowych stało na straży prymatu gospodarczego.

Szkoła, katedra profesorska, ambona kościelna pod rządami Polaka Metrop. Szeptyckiego, stały się ostoją ukraińskiej propagandy i nienawiści przeciw Polsce. Z prywatnych mieszkań Niemców, którzy pierwsi inicjowali zebrania młodej inteligencji ukraińskiej, wyszedł ruch walczący ze wszystkim, co polskie. Na wszystkich odcinkach walk z polskością naczelne miejsce zajmowała młodzież akademicka. Butności ukraińskiej towarzyszyły miękkość, ustępliwość, ugodowość, a nawet poparcie oficjalnych reprezentantów Polskości: Badenich i Bobrzyńskich. Obecnie takie poparcie obserwujemy u niektórych czynników administracyjnych. Polacy sprowadzili z Kijowa do Lwowa Hruszewskiego, by ten rzucił hasło „Lachy za San".

Przed naporem ukraińskim cofał się żywioł polski. Kapłani uniccy upra-

wiali zawodową kradzież polskich dusz, która dzisiaj jeszcze nabrała na sile. Kiedy społeczeństwo polskie zorientowało się w mocy przeciwnika i łagodności swych władz, samo podjęło przeciw akcję na polu oświatowym, społecznym, religijnym i gospodarczym.

Kaplice i kościoły łacińskie, które z inicjatywy księdza biskupa Bilczewskiego pokryły gęstą siecią zagrożone ziemie, zahamowały kradzież dusz. Setki szkół ludowych T.S.L. uchroniły 50 tys. armię polskich dzieci od wynarodowienia w szkołach ruskich; biblioteki, wykłady, uniwersytety ludowe walczyły o każdą duszę. Koła rolnicze, kasy pożyczkowe broniły polskiego stanu posiadania; organizacje sportowo-wojskowe mobilizowały siły, wreszcie kosztowna i krwawa ofiara dzieci Lwowa ocaliła te ziemie dla Polski. Na moment pokonane żywioły ukraińskie przyczaiły się, by niedługo po tym z jeszcze większym tupetem podjąć dalszą akcję, mając już utorowaną drogę, tradycję walki i niewątpliwie mocno podkreślone różnice narodowościowe.

Z posiewu ideologii terroru wyrosła tajna O.U.N. z jej sabotażami, konspiracją i mordami. Podzielone na grupy społeczeństwo ukraińskie jest w większości zgodne w nienawiści do Polaków, jest zdecydowane w walce z polskością. Walka ekonomiczna dała im znów potężną sieć sklepów, spółdzielni, związków i kas. Walka na polu kulturalno oświatowym szerokie przybrała rozmiary. Wszelka indywidualna, czy zbiorowa działalność służy na każdym polu walce. Dyrektywy z Berlina, Pragi, Kowna, Moskwy i Kijowa równają front. Wykryty niedawno spisek zbrojny rzuca światło na działalność wojskową. W tej działalności konkurują agenci komunistyczni, przenikający do wszystkich organizacyj ukraińskich, a także białoruskich i litewskich. Organizacje religijne służą celom politycznego uświadomienia. Duchowieństwo tak dalece oddaje się polityce, że wywołało oficjalny zakaz władz kościelnych widzących jak sieje się bezbożnictwo, sekciarstwo i rozwija przestępczość. W ruchu przeciwpolskim znów przodują akademicy. Oni już dawno zerwali z gnuśnieniem w murach uczelni i akademickimi sporami i wracają do pracy w terenie, z którego wyszli.

A Polacy nie mają jednolitego programu politycznego, ani nawet zgodnego poglądu na te sprawy, pozostawiają sobie liczebny, 50% sięgający żywioł polski, oddają bez skrupułów 400 klm. kw. ziemi polskiej rocznie „boritelom" ukraińskiego O.U N. Czynniki odpowiedzialne za polski stan posiadania wahadłowy zdradzają ruch, a społeczeństwo obojętnie czeka . . . Tymczasem pożar Kresów podsyca nie tyle prężność separatystycznych ruchów nacjonalistycznych, ile polska słabość, bezprogramowość, niezgoda i obojętność. Brzydzimy się pruską eksterminacją, ale pamiętamy okres, w którym określenie „gente rutemus, natione polonus" wskazywało narodowość płonących dziś kresów.

Nam musi przyświecać dogmat nienaruszalności granic i potęgi jednolitego narodowo państwa. Pożar stłumimy jedynie przez proces zupełnej i wszechstronnej asymilacji Kresów, pamiętając, że asymilować może tylko naród silny kulturą i silny potęgą państwową.



Patrząc na reprodukowany powyżej obraz, nie pozbawiony swoistego artyzmu trudno wprost uwierzyć iż jest on dziełem osobistości szeroko dzisiaj znanej w świecie, ni mniej ni więcej: A d o l f H i t l e r pinxit. Obok podpisu malarza widnieje data Haubourdin 15 II. 1916, jak więc z tego wynika ówczesny kapral Adolf Hitler utrwalił jakieś swoje wspomnienie z okolic frontu francusko-niemieckiego. Widzimy wyraźnie jak wojna wycisnęła swe piętno, ślady granatów dobitnie o tym świadczą. Tutaj późniejszy budowniczy III. Rzeszy, nieprzejednany wróg komunizmu i zaciekły tępiciel żydowstwa, dał nam się poznać jako dobry artysta.

Jan Kurkiewicz (Kraków)

Drzeworyt i jego technika



rzeglądając bogato ilustrowane książki, czasopisma, magazyny — każdy z czytelników napewno zwrócił uwagę na reprodukcje drzeworytów. Odbijają się one kontrastowo od białych kart a przytem tak harmonizują z czcionkami druku z któremi jakby je coś łączyło tworząc razem całość, zgodną bogatą i harmonijną.

Te małe dzieła sztuki mają swoisty wdzięk i bogactwo; wdziękiem ich subtelność linii a bogactwem światła i cienie. Wymagają prawdziwego artyzmu, pracy delikatnej i pewnej ręki w władaniu rylcem od swych twórców.

Światła cienie i linie — tak prostymi środkami operuje rytownik, a ile potrafi zawrzeć w małej kompozycji ekspresji i efektów!

Pragniemy zapoznać bliżej Czytelników chociaż z najbardziej ciekawemi i charakterystycznemi szczegółami tej pięknej, a może trochę zapoznanej sztuki.

Narodziny drzeworytu są niezbyt dawne, biorą swój początek prawdopodobnie ze sztuki średniowiecznej wycinania stempli i w w. XII znany już jest sposób drukowania ich na papierze. — Potrzeba matka wynalazków może w ten sposób ułatwiała trudną sztukę pisania, jakiemuś wysokiemu dygnitarzowi, który niezupełnie ją opanował. A w mrocznych celach klasztornych cisi mnichowie pracują wytrwale zdobiąc karty mszałów drzeworytami. Bo już między XII a XIV w. rozwija się sztuka rytowania na drzewie. Niestety bliższych dat powstania wczesnych dzieł nie znamy. Dopiero pierwszy zaopatrzony datą drzeworyt pochodzi z r. 1423 z opactwa Kartuzów w Buxheim, przedstawia św. Krzysztofa. Drzeworyty ówczesne poruszają przeważnie tematy religijne, jest to zrozumiałe, bo niemi przecież przepojone było całe średniowiecze.

Nietylko, że ilustrowano ówczesne dzieła drzeworytami, ale spełniały one często poprostu rolę dzisiejszych matryc: wycinano cały tekst stronnic i odbijano je. Zupełnie zatem słusznie drzeworytnictwo może być dumne, że przyczyniło się do powstania dzisiejszej książki, i kto wie, czy to właśnie nie natchnęło Gutenberga.

Siła uroku tej pięknej gałęzi grafiki, zdobywała coraz w więcej wyznawców. Artyści pracują nad drzeworytami, nad ich techniką, starają się ją udoskonalić, rozwinąć. Wytwarzają swoisty charakter. Zwłaszcza

w Niemczech dochodzi sztuka drzeworytnicza do pełnego rozkwitu w XVI wieku.

Tymczasem na drzeworyt przychodzą złe czasy a zaćmił go chwilowo tak bardzo pokrewny mu — miedzioryt. Tylko, że technika tu jest inna, inny materiał, inna możność wydobywania efektów. Artyści widzą tu szersze pole do popisu i drzeworyt musi ustąpić ze swego czołowego miejsca. Nastaje prawie że okres jego upadku, zdawałoby się, że już nie powróci, powraca jednak i to triumfalnie u schyłku XIX w. Pracę pionierską podejmują tacy artyści jak Gauguin i Munch.

Nadają już swoim dziełom zdecydowany charakter, zrywają z dawnym systemem naśladnictwa techniki ,malarskiej i dają swoim dziełom własny specyficzny wyraz. Dzięki nim odżył drzeworyt pełnym blaskiem i odtąd zajmuje jedno z pierwszych miejsc w grafice; znalazł zrozumienie w świecie artystycznym i znawców sztuki, we wszystkich prawie krajach świata.

W Polsce drzeworyt osiągnął wysoki poziom dzięki takim przedstawicielom jak: Władysław Skoczylas zmarły niedawno, twórca nowoczesnego drzeworytu zamiłowany w baśni podhalańskiej, Stanisław Ostoja-Chrostowski drzeworytnik wysokiej klasy o niezwykłej precyzji cięcia, Stefan Mrożewski, operujący zrecznie tak zw. rylcem wielokrotnym — uzyskując bogate tło graficzne, Tadeusz Kulisiewicz daje nam ciekawe i przepiękne kompozycje, Edmund Bartłomiejczyk tematy huculskie, Bognę Krasnodębską, Wiktora Podoskiego i wielu innych.

Przypatrzmy się teraz jak wygląda sama technika wykonania. Artysta mając już gotową kompozycję musi się zaopatrzyć w odpowiedni materiał, zdawałoby się niewiele — drzewo i rylec, no i sztukę posługiwania się niemi.

Deseczki i klocki drzeworytowe pochodzą z drzewa gruszy lub bukszpanu, przy doborze musi rytownik brać pod uwagę trwałość, twardość i ułożenie słoi drzewnych, a trudno o dobry materiał naprawdę.

Przygotowany klocek (cięty w poprzek słoja) odpowiednio zabezpieczony przed wypaczeniem (za pomocą sklejenia) powlekamy tuszem naturalnie gładką powierzchnię i zapomocą białej kalki przerysowujemy kompozycję.

Teraz następuje właściwa praca rytownika. Musimy sporządzić jakby negatywy rysunku i pracując pamiętać ciągle o uwzględnianiu światła i cieni. Miejsca wycięte rylcem zostaną białe po odbiciu — miejsca nietknięte ciemne. Powleczenie klocka tuszem jest jedynie ułatwieniem technicznem, pozwala nam to dokładnie widzieć wycięte partie rysunku, będą one jasne, reszta pozostanie jeszcze przykryta tuszem. Do rytowania używa się rylców różnych grubości i profilów. Rylec taki jest zrobiony ze stali osadzony na małej rączce w kształcie gruszki. Trzymając rylec w prawej ręce a lewą przytrzymując od góry — tniemy od siebie naciskając dłonią rączkę rylca.

Gdy już sprawdzimy rysunek przystępujemy do odbicia, będzie to pierwsza próbna odbitka, sporządza się ją w ten sposób, że powierzchnia wałka zostaje powleczona farbą drukarską za pomocą wałka gumowego i za chwilę ujrzy światło nowy twór sztuki ludzkiej.

Faktura czyli pewnego rodzaju indywidualne potraktowanie graficzne danej kompozycji drzeworytniczej świadczyć będzie o jego artystycznem pięknie.

Na zakończenie wreszcie kilka słów o tzw. drzeworycie barwnym. Sprawa jest tu bardziej skomplikowana — gdyż do każdego koloru musi być użyta odpowiednia deseczka z wyciętem na niej fragmentem kompozycji. Nie możemy tu pominąć japońskiego drzeworytu barwnego, odbiega on zupełnie od naszej techniki, jest on może najstarszy, o bajecznej tonacji kolorytu i mistrzowskiej wprost sztuce cięcia. Ale żeby go pojąć i ocenić trzeba by umieć pojąć tajemniczą duszę Wschodu.

Lesław Petecki

W górskim schronisku

(ze zbioru „Niebieskie pieśni")

W górskim schronisku, gdzieś prawie że w chmurach
Mieszkam myślami, (uwiązany w mieście).
We śnie zdobywam szczyt z okrzykiem hurra!
Budzę się. Patrzę na zegar. — Jak wczesnie.

Dopiero świta. W górach w tej godzinie
Zerwałbym z łóżek swoich towarzyszy,
I szedłbym drogą, co w kosodrzewinie
Wiedzie do nieba. W rezerwaty ciszy.

Potem przebieram buty gdzieś pod ścianą
I włażę w szatę. Przyklejam się do niej . . .
. . . spadam . . . . i słyszę czyjś głos „8 rano"
. . . .
I w tuszu wody marzenie me tonie.

J. Cold

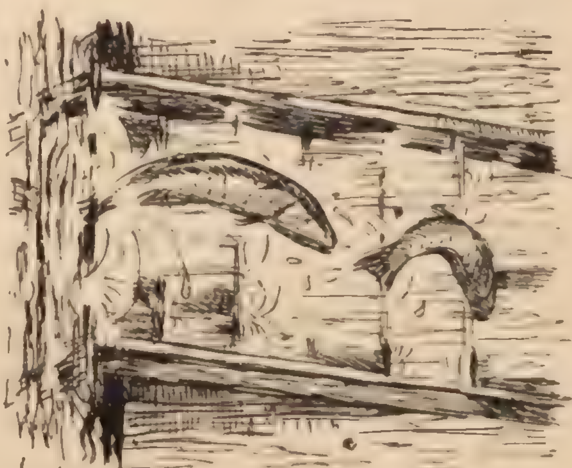
WĘDRÓWKA ŚMIERCI

J. KURKIEWICZ

Świat ujrzały w bystrych nurtach wypływającego z pod skalistych Tatr Dunajca. A był to świat ciekawy i pełen niespodzianek. Instynktonie ukryły się w żwirze rzecznym, gdzie znajdowały dostateczną ochronę przed nieprzyjaciółmi. Powoli oswajały się z miejscem swego wylęgu aczkolwiek przebywały tu od jesieni, ale w postaci ikry, złożonej przez ich rodziców przybyłych z dalekich stron. Długi był okres ich rozwoju, trwający od października do kwietnia. Szczęśliwie go jednak przetrwały, a nawet wiosenne roztopy, w czasie których wody były mętne nie zdołały uczynić im nic złego.

W pierwszym okresie swego wzrostu wygląd ich był dość dziwny. Leniwie poruszały się, a przeszkadzał im w tej czynności woreczek mieszczący się po stronie brzusznej ich ciała. Nie mogąc jeszcze pobierać pokarmu, na skutek braku połączenia jamy gębowej z przewodem pokarmowym, przyroda obdarzyła ich wspomnianym woreczkiem, z którego czerpały pożywienie. Zmniejszał się on z każdym dniem, a kiedy natura rozbłysnęła w pełni swej wiosenny krasy, zanikł zupełnie.

Od tej chwili dobrze już wykształcone młode rybki, zaczęły ostrożnie opuszczać swe kryjówki oraz zapoznawać się z otaczającym ich środowiskiem, polując za pożywieniem.
Liczna to była gromadka, uganiająca się za jętkami oraz muszkami latającymi nad wodą. Również larwy owadów oraz inne zwierzątka zamieszkujące rzekę stanowiły przysmak ich urozmaiconego i obfitego pokarmu. Były wybredne i byle czym nie zadawalniały się.
Pewnego słonecznego dnia stało się w życiu ich coś



rys. T. Skowroński


rys. T. Skowroński

nadzwyczajnego. Kiedy żerowały spokojnie w falach Dunajca, zjawiło się nagle kilka dużych ryb, które z prawdziwą gwałtownością napadły na bezbronną gromadkę i mocno ją przetrzebiły. Z niesłychaną szybkością szukały pozostawione przy życiu schronienia pod kamieniami w dnie rzeki i tutaj przychodziły powoli do siebie z przestrachu jakiego doznały. Zdawały sobie odtąd sprawę, że mają nieprzyjaciół czyhających na ich życie i że są narażone na ciągłe niebezpieczeństwa. Naukę tę zapamiętały opuszczając od tej chwili ostrożnie swe kryjówki za poszukiwaniem żeru. Zdarzało się wprawdzie jeszcze nieraz, że któryś z braci czy sióstr uległo drapieżcowi, lecz w walce o byt stały się w miarę wzrostu coraz silniejsze, a gromadka jaką trworzyły nie pomniejszała się zbytnio.

Z biegiem czasu przekonały się, że nie tylko w wodzie, ale również nad wodą mają wrogów. Niejeden z nich polując za muszką doznawał w chwili chwytania jej silnego bólu, coś uczepiło się górnej szczęki i mocno ciągnęło z wody. Pobyt jednak w zupełnie obcej, suchej i dusznej krainie nie trwał zbyt długo, gdyż czyjeś ręce odczepiły haczyk z wędki i wpuściły niemiarową rybkę z powrotem do wody. Strach jednak był wielki i dziwne wrażenie odniesiono w tym obcym świecie — powietrzu. Nie wiedziała maleńka rybka, że tylko swej wielkości ma do zawdzięczenia powrót do środowiska wodnego.

Gromadka nasza przeżyła w wodach pięknego Dunajca całe dwa lata, nie oddalając się zbytnio od miejsc swego wylęgu. Jedynie dla poszukiwania pokarmu odbywały nieznaczne wędrówki w rzece, która była ich żywicielką.

Wyrosły już do 10 ctm., a niektóre sztuki sprytniejsze w wyszukiwaniu pożywienia, mogły się poszczycić długością nawet 15 centymetrową. W tym czasie zaczęły doznawać dziwnych wrażeń. Jakaś mocna siła nakazywała im opuszczenie dotychczasowych żerowisk i pędziła ich naprzód, — coś gnało ich w dół rzeki.

Opuszczały miejsca swego wylęgu, żegnały się z wodami Dunajca — ich kolebką — i spływały w dół, w nieznane . . . . Zdążały do tego środowiska, z którego pochodzili ich rodzice — do morza.

Były to bowiem łososie — ryby morskie, posiadające tę dziwną właściwość, że dla odbycia tarła wędrują do rzek, a więc do wód słodkich. Z takich młodych łososi składała się właśnie nasza gromadka wylęgnięta w Dunajcu.

Wędrówka w dół rzeki trwała 4 do 5 miesięcy, w czasie której młode łososie w dalszym ciągu narażone były na niebezpieczeństwo zarówno w Dunajcu jak i w Wiśle. Uganiały się za pokarmem i rzecz dziwna, teraz i one napadały mniejsze rybki i stały się drapieżcami. Zarówno przestrzeń polowania jak i obfitość pokarmu zwiększały się w miarę zbliżania do bezmiaru wód, do którego zdążały. Wreszcie opuściły wody słodkie i znalazły się w morzu.

Z nowym środowiskiem morskim szybko się zapoznały i zdały sobie sprawę, że walka o byt jest tutaj trudniejsza i niebezpieczniejsza aniżeli tam, gdzie wyrosły. Stały się prawdziwymi drapieżcami i odbywały dalekie wędrówki po morzu, kierując się ku północnemu wschodowi. Płynęły wzdłuż wybrzeży Prus Wschodnich, Litwy i Łotwy, a niektóre z nich dotarły nawet do zatoki Ryskiej.

Piękne to były czasy, bogate w przygody i mocne przeżycia. Beztrosko spędzały żywot, przekształcając się z małych rybek w piękne okazy dużych łososi. Ciało ich pokryte drobną łuską było nakrapiane centkami, a połysk posiadało srebrzysty Rosły i dojrzewały.

Spędziły w morzu na dalekich wędrówkach 2 do 3 lata, po czym przeżywały po raz drugi dziwne wrażenie, które pchało ich do rzeki, będącej ich kolebką.

Dziwnym instynktem wiedzione znalazły ujście Wisły i rozpoczęły żmudną, bo przeszło 1000 km. wędrówkę w górę rzeki — wędrówkę śmierci.

Na wielkie trudności napotykały w drodze na tarliska, nie mniej siła, która ich pchała była tak mocna, że przezwyciężały z prawdziwym bohaterstwem wszelkie przeciwności.

W czasie tej długiej, bo prawie pół roku trwającej wędrówki, zatraciły apetyt i nie odżywiały się prawie zupełnie. W drodze piętrzyły się przeszkody. Warunki życia pogarszały się na niektórych odcinkach rzeki na skutek wpuszczania wód fabrycznych i miejskich. Jedno z takich ognisk zanieczyszczeń przebyły z trudnością pod Włocławkiem, gdzie pracują fabryki celulozy, drugie zaś pod Warszawą, która odprowadza ścieki miejskie wprost do Wisły. Po raz trzeci pogorszyły się warunki w ujściu Dunajca na skutek spływów ścieków zakładów przemysłowych i większych osiedli miejskich jak Tarnów do rzeki Białej i Dunajca.

Wymienione przeszkody spotęgowane osłabieniem łososi na skutek braku ich odżywiania się w czasie wędrówki przyczyniły się do zmniejszenia tej liczby, która wyruszyła na tarliska. Jeżeli do tego dodamy, że setki tysięcy łososi dostaje się do sieci rybaków morskich, dalej rybaków gdańskich w ujściu Wisły, oraz rybaków wiślanych, łatwo zrozumieć, że do Dunajca wraca nieliczna garstka tego co się tu wychowało i zeszło do morza.

Po przebyciu miejsca budowy zapory dolinowej w Rożnowie na Dunajcu, którą w przyszłości przezwyciężać będą łososie za pomocą przepławki dla ryb, umożliwiającej przejście z dolnego poziomu rzeki do jeziora, jakie powstanie z chwilą ukończenia budowy zapory — znalazły się nasze łososie mocno wyczerpane w górnym dorzeczu Dunajca. Odpoczęły po trudach wędrówki w głębinach przełomu Dunajca w Pieninach i czekały na okres tarła, który ze względu na porę jesienną był już bliski.

Niejedna sztuka zaciekawiona latającą muszką nad wodą, dała się w Dunajcu złowić na wędkę. Nie wiedziała bowiem, że muszka, którą chwyta, jest sztuczną i połączoną z wędką trzymaną przez człowieka. Nieraz udało się wprawdzie odczepić haczyk i ujść śmierci, w większości jednak wypadków musiała po kilkugodzinnej walce z wędkarzem zakończyć swój pełen przygód żywot.

Nadszedł październik, powietrze oziębiło się i łososie rozpoczęły ostateczną wędrówkę na miejsca tarliskowe. Mocno zmalała gromada, wiele sztuk padło w różnych okolicznościach w walce o byt i w czasie wędrówki godowej.

Łososie, które przetrwały dotychczasowy okres swego życia, przygotowały się obecnie do spełnienia tak ważnego w ich życiu aktu zabezpieczenia gatunku i wydania potomstwa. Samce wyszukały dorodne samice, starając się o pozyskanie ich względów. Nieraz musiały stoczyć walki z innymi samcami i wzajemnie się kaleczyły.

Mocnemi uderzeniami ogonów wyczyściły kamienie w miejscu obranym na tarlisko i wykopały jamki w żwirze rzecznym, w które złożona została ikra przez samice przy równoczesnym zapłodnieniu jej przez samce. Ikrę wielkości ziarna grochu przysypały następnie żwirem i w ten sposób zabezpieczyły przed wrogami. Opłukiwana przez wodę pozostała tam aż do wiosny do czasu wylęgu narybku.

Obowiązek zabezpieczenia potomstwa, został spełniony. Wyczerpane długą wędrówką oraz długotrwałą głodówką łososie najczęściej giną na tarliskach lub w czasie schodzenia do morza. Nieliczne tylko sztuki wracają do morza, by po raz drugi odbyć tę męczącą wędrówkę w górę rzeki na miejsca tarliskowe.

Aczkolwiek wędrówka łososi na święta godowe kończy się śmiercią, daje ona nowe życie setkom tysięcy osobników młodych łososi, przechodzących te same koleje życia, co ich rodzice.

Taki to dziwny żywot prowadzą łososie, zamieszkujące nasze morze, a przemierzające prawie całą Polskę, by pod skalistymi Tatrami na południowych rubieżach naszego Państwa dać życie nowym pokoleniom.

Emel

Domy z przymkniętymi oczyma

Do Norwegii zdecydowałem się pojechać w przeciągu pół godziny.

— Jedziemy jutro do Osło z reprezentacją Polski. Jeśli chcesz, jedź z nami. Będzie na pewno bardzo przyjemnie. I później następował szereg cyfr, ilustrujących wycięczkę w kilometrach, w złotych, w terminach, w markach niemieckich, w wynikach lekkoatletycznych i w koronach norweskich. A na zakończenie miłego telefonu z Warszawy padły przerażające słowa: Jeśli się decydujesz, musisz być jutro w południe w Warszawie, bo to jeszcze trzeba i pieniądze zmienić i dopatrzyć, czy paszporty w porządku, a wieczorem jedziemy.

— Hallo. Mineło 9 minut rozmowy, czy mówi się jeszcze?

— Już nie proszę pani, już nie — odkrzyknąłem przerażony, ten mój rozmówca — proszę pani — to wariat.

A jednak pojechałem. Zdecydowałem się w minucie. W minucie trzydziestej od chwili rozpoczęcia rozmowy z Warszawą. Szczęście, że przedtem odłożyłem słuchawkę!

Pojechałem. Zdecydował przedewszystkiem straszliwy upał, jaki trwał w czasie rozmowy telefonicznej i strugi potu, jakie spływały wodospadem Niagara z mego czoła. Później zastanawiałem się, czy to nie był zimny pot. Wtedy jednak było mi gorąco. A Norwegia, kraj północny, kraj zimny, mistrzów Kristianii i fiordów. Tam przynajmniej będzie chłodno, przyjemnie.

Owszem było przyjemnie. Nawet bardzo. Było miło, przeżyliśmy całą gamę przeżyć i wrażeń mocnych, a czasem niesamowitych.

Całe szczęście, że te przeżycia mocne a najbardziej niesamowite ominęły mnie na pięknym promie Konung Gustaw V na trasie Sasnitz-Tröleborg, choć dla mnie nie miałyby tak smutnych następstw, jak dla zawodników, których wyniki zależały przecie od ilości posiadanych sił żywotnych. A oni pozbywali się ich w sposób zielonkawy i sprinterski. Zielonkawy z twarzy, sprinterski ze względu na szybkość, z jaką dobiegali do barjery. Padło nawet podejrzenie, że Konung Gustaw kieruje się do innego portu bałtyckiego, a nie Tröleborgu.



Norwegia — Tröleborg „Foto-Lub"



Norwegia — Oslo „Foto-Lub"

To też, kiedy namacalnie stopami stwierdzono, że to naprawdę Tröleborg, miny większości uczestników wybitnie się poprawiły i wrócił beztroski na strój. Zwłaszcza, kiedy wagony sypialne okazały się tak doskonale wygodnymi.

Oslo powitało nas bezchmurną pogodą, liczną rzeszą uprzejmych i miłych dużych blondasów — przedstawicieli Związku Norweskiego, płaczliwą miną Kusocińskiego, któremu dolegało bardzo ucho, i .. 45° stopniami w słońcu!

Była niedziela. Godzina 9 przedpołudniem. Idziemy z dworca pustymi ulicami, a raczej jedną dużą i puściusieńką ulicą Johannsgattan. Ze zdziwieniem dowiadujemy się, że to największa, „najludniejsza" ulica Oslo. Ulica, przy której stoi Grand Hotel (miał zaszczyt parę dni przed nami gościć min. Becka) i zamek królewski.

— A dlatego pusto, wyjaśnia nasz Cicerone, bo dzisiaj niedziela. Wszyscy ludzie są na wycieczkach i na plaży.

Nagle cała grupa zatrzymuje się: sensacja: oto kroczy przez ulicę piękna (jakież wspaniałe plecy!!) norweżka w kostiumie kąpielowym i krótkich tenisowych spodenkach przed kolana. Przez główną ulicę stolicy Norwegii! I tylko my stajemy osłupiali, urzeczeni czarem ślicznych, opalonych pleców.

— Za chwilę dolatuje mnie radosny okrzyk: Hej, Krakowiacy. Ile ludności ma Kraków?

— Koło 300.000. Tyle mniej więcej co Oslo.

— A macie kolejkę podziemną? — Zorjentowałem się. Widzę, że ten tunel, to zejście do kolejki.

Odpowiadam w nieco niearyjski sposób:

— A wy w Warszawie ile macie ludności. 1.300 000? Prawda?

Zamilkł mój przeciwnik, ocaliłem honor Krakowa. Ale Oslo zaimponowało mi. Ma kolejkę podziemną. Jest to wprawdzie raczej kolej, która łączy Oslo z szeregiem pobliskich miejscowości, wspaniale położonych w okolicznych górach. I jej podziemny kurs jest niewielki, tylko w samym, niewielkim co do obszaru, centrum miasto. Reszta idzie na powierzchni. Niemniej tylko bardzo zamożne miasto może sobie pozwolić na taką inwestycję. Zamożność i dobrobyt, to zdaje się zasadnicza cecha przemiłych kulturalnych krajów skandynawskich. I zdaje mi się, że wysoka kultura jest właśnie wynikiem bezpośrednim zamożności. Ogólnej zamożności. Jak zapewne i fakt, że brak w tych krajach złodziei.

Jeśli nie potrzebuje — nie musi kraść — nie kradnie. Wiem, że większość zakrzyczy mnie: jak to. Przecie u nas najwięcej kradną właśnie ci, którzy mają dużo.

— Ale, jeśli ktoś miał zawsze wszystkiego dosyć, z pokolenia na pokolenie, to może odwykł od myśli, że można coś cudzego zabrać. Taki szczęśliwy atawizm.

I przerywam dyskusję Nie mam czasu: Muszę oglądać piękne miasto, wspaniały port, który dymi i kopci, jak marynarz norweski, kominami całej sfory statków, dyszących w cichych i jakże ciepłych wodach portowych fiordów. Musiałem zrobić zdjęcie miłego domu, który nazwałem domem z przymkniętymi oczyma, tak miał świetnie pomyślane story. No a przede wszystkim musiałem pojechać do Mekki narciarstwa światowego: Holmenkollen. Najsławniejsza skocznia narciarska ma wybieg w jeziorku. Na zimę wodę z jeziora spuszczają i .. Staszek Marusarz ani pewnie wie, że skakał do jeziora. I Muzeum narciarskie i żebra mamuta, jako fundamenta szałasu narciarskiego — to wszystko Holmenkollen, któremu powieść winnoby się poświęcić, a nie dwa zdania w fejletonie. A czyż mógłbym dyskutować, kiedy muszę iść do miłego Quick Baru, gdzie doskonałe lody sprzedaje najpiękniejsza platynowa blondynka. Prawda? Panie Felku i Panie Januszu! Najpiękniejsza!! To też patrząc z perspektywy paru miesięcy na wspomnienia norweskie muszę zaprzeczyć mym słowom wypowiedzianym do telefonistki. On wprawdzie wariat i tak, ale tym razem miał rację. Dobrze, że pojechałem — choć na tak krótko — do Oslo. A pierwszy raz pomyślałem tak, kiedy z okna wagonu czerń lesistych wzgórz okalających Oslo, poprzedzierana wspaniale migocącymi światełkami, oddalała się co raz bardziej i znikała z horyzontu.



Norwegia — Holmenkollen „Foto-Lub"

J. S. W.

Pociągnięcie, którego dotąd brak

Nie jest bynajmniej zadaniem tego artykułu reklamowanie świetnego piwa okocimskiego ani żadnego innego.

Pragniemy stwierdzić tu kilka faktów, natury społecznej, dotąd przemilczanych, nad którymi jednak najwyższy czas się zastanowić. Mamy tutaj na myśli problem alkoholizmu tak często omawiany w różnych zarówno dziennikarskich jak i politycznych wywodach, kończących się szeregiem przeróżnych uchwał, przeważnie jednak niestety nie prowadzących do żadnych pozytywnych rezultatów. Niepowodzenie dotych czasowych metod w zwalczaniu alkoholizmu spowodowane jest bardzo prostą przyczyną: uchwalając przeróżne rezolucje, ich projektodawcy jakkolwiek powodowani najszczytniejszymi pobudkami, zapominają, że trudno jest zmienić naturę ludzką jakimś hasłem a już co najmniej uchwałą. Zrozumieli to najlepiej Amerykanie przeprowadzając na swej „własnej skórze“ — jak to powiadają niezmiernie kosztowny eksperyment, jakim było wprowadzenie prohibicji na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Praktyka życia wykazała jednak, iż eksperyment ten nietylko, że nie dał rezultatów, ale nawet zawiódł nadzieje najbardziej jego skrajnych zwolenników, którzy motywowali konieczność wprowadzenia prohibicji jako środka zmniejszenia przestępczości. Tymczasem, jak to często bywa z zamiarami ludzkimi, szczególnie, gdy nie uwzględniają one psychologii ludzkiej, w rezultacie prohibicja stworzyła . . nowy i to najgroźniejszy typ przestepcy — „przemytnika alkoholu“, który z czasem, gdy prohibicję zniesiono, zamienił się w tak zwanego „gang stera”. Eksperyment ten okazał się więc nie tylko nieudanym ale nawet wręcz szkodliwym.

A jednak tak często czytamy o przeróżnych najfatalniejszych skutkach alkoholu konsumowanego w zbyt wielkich ilościach. Wystarczy przejrzeć codzienną rubrykę zbrodni dokonywanych pod jego zgubnym wpływem! Ileż to rodzin rozbija się o ten, tak niebezpieczny społecznie nałóg! Czy rzeczywiście nie ma żadnego sposobu istotnie skutecznego dla przeciwdziałania nadmiernej konsumcji alkoholu?

Ktokolwiek miał sposobność przeglądać życiorys znakomitego angielskiego męża stanu Lloyd George'a spotkał się spewnością ze zdaniem „Największym sukcesem tego wybitnego polityka, gdy stał u steru rządów, było wysokie opodatkowanie wódki wszelkich rodzajów, przy równoczesnem obniżeniu do minimum podatku od wyrobu i sprzedaży piwa . . . ” Rezultat tego kroku był istotny — uwzględniał on bowiem znakomicie istotne cechy mentalności ludzkiej: odbierając bowiem społeczeństwu pewną powszechnie używaną przyjemność, dawał na jej

miejsce inną, podobną ale społecznie i zdrowotnie nie szkodliwą. To też, jakkolwiek do czasu owej reformy podatku od wódek, w Anglii pito bardzo wiele wysoko procentowych napojów alkoholowych, z chwilą jej wprowadzenia konsumcja tego rodzaju napojów zaczęła się obniżać Proporcjonalnie jednak zaczęła wzrastać konsumcja piwa. Po dziesięciu mniejwięcej latach Anglicy tak przyzwyczaili się do piwa, iż napój ten uważa się u nich dzisiaj za najbardziej powszechnie używany napój alkoholowy. Na reformie tej stracili, zresztą tylko chwilowo fabrykanci wódek. Państwo nic nie straciło — na miejsce bowiem wysokiego podatku od piwa otrzymuje wysoki podatek od wódki — na miejsce niskiego podatku od wódki, otrzymuje niski podatek od piwa. Fabrykanci wódek z czasem zamienili rektyfikacje na browary. Zyskało zaś na tem społeczeństwo, zyskało w stopniu, którego nie da się materialnie obliczyć ale o którego doniosłości może dać wyobrażenie rzut oka na gazety angielskie — jak mało miejsca zajmują w nich smutne wypadki nadużywania alkoholu. Myślimy, że czas najwyższy, bo pomyśleć o takiej reformie w Polsce . . .

D B.

O modzie słów parę . .

Skończył się sezon letni. Panie przeglądają swe toalety, odkładają letnie sukienki i płaszczyki a zastanawiają się jak uzupełnić swą jesienną garderobę. Co jest modne?

Przeglądamy różne pisma, ażeby ubrać się modnie a nie przekroczyć sumy na ten cel przeznaczonej.

Przedewszystkiem musimy sprawić sobie jakiś cieplejszy szlafroczek, gdyż wytworna pani tak w domu jak i na ulicy musi być elegancka. Bardzo modne są jedwabie na kutnerkach (jest to rodzaj flaneli od lewej strony), sukna lub wełny. Jeżeli materiał jest w deseń, szyjemy prosty fason szlafroczka, długiego do ziemi lub do kostek, dopasowanego w talji, kloszowego dołem. Zapięcie z boku lub na przodzie uzależniamy od figury i gustu pani. Jeżeli chodzi o materiał jednobarwny możemy go pięknie przybrać aplikacją w odcieniach lub w jednym kolorze np. na łososiowy — niebieski, na czerwonym — czarny i tp. Aplikacje mogą się składać z kwiatów lub figur geometrycznych, ustawionych fantazyjnie. Aplikację naszywamy dołem szlafroczka — w tym wypadku czynimy jednak szlafroczek mniej kloszowym — i na końcach szarfy któremy go zawiązujemy.

Przed południem, kiedy pani idzie na sprawunki, modnym i ładnym jest komplecik składający się ze spódniczki, tkanej w niebardzo intensywną kratę, bluzeczki jedwabnej w jednym z silniejszych kolorów kraty a na to płaszczyk trzy-czwarte z tego samego materiału co spódniczka, luźny, z klapami i kieszeniami. Albo inny komplecik: sukienka z wełny, gładka, w jednym kolorze a na to płaszczyk trzy czwarte, luźny, w kratę lub tkany z nitek kolorowych. Jedwabna sukienka i płaszcz muszą być utrzymane w jednym tonie. Pięknym uzupełnieniem całego stroju jest pasek do sukienki, rękawiczki, torebka a nawet buciki z tej samej skóry. Do sportowych kompletów ubiera pani kapelusz filcowy o szerokim rondzie i wysokiej załamanej główce, przybrany wstążką w kolorze harmonizującym z całością.

Wieczorem, gdy pani idzie do kawiarni lub do znajomych ubiera sukienkę z jedwabiu lub wełny, tłoczonej w deseń — sukienka taka może być przybrana materiałem nawet w kontrastowym kolorze, jednak musimy pamiętać, że jeśli materiał ma kolor pastelowy, przybranie musi być również pastelowe. Do czarnych lub granatowych sukien wieczornych bardzo modnym jest haft na rękawach i biuście z kolorywych nici jedwabnych lub koralików. Kapelusz z małym rondkiem lub toczek z wysoką główką, przybrany piórem, wstążką lub woalką, osłaniającą twarz aż pod brodę, wiązaną z tyłu głowy a nie jak dotąd opuszczaną luźno na twarz. Wieczorem ubiera pani płaszcz ciemny, dopasowany do figury, poszerzony w ramionach, kloszowy dołem, ewentualnie przybrany futrem. Futra, obecnie jako przybranie każdej całości są bardzo modne.

Prosimy nadsyłać

Rozpisujemy konkurs fotograficzny!

Najlepsze z nadesłanych zdjęć zamieszczać będziemy w następnych numerach „REFLEKSJI". Prosimy nadsyłać zdjęcia (tylko odbitki bez kliszy) z podaniem nazwiska lub pseudonimu, adresu, oraz nazwy zdjęcia pod adresem:

„REFLEKSJE" Dział Publicystyczny — Konkurs Fotograficzny Kraków ul. Jabłonowskich 7

Dwa guziczki na kierownicy auta zastąpią skomplikowaną maszynerię

Cały świat techniczny poruszony jest od kilku tygodni wiadomością o sensacyjnym wynalazku samochodowym Włocha **Salerniego**, oraz Polaka **Emila Walchera**, którzy pracując od szerego lat od siebie niezależnie, rozwiązali prawdopodobnie ostatecznie zagadkę stworzenia pojazdu mechanicznego, **pozbawionego całkowicie skrzynki biegów.** Nie znając dokładnie szczegółów konstrukcyjnych, trudno wydać sąd, który z wynalazków okaże się w przyszłości praktyczniejszy.

Celem uzyskania bliższych szczegółów, udaliśmy się do p. Emila Walchera, którego zastaliśmy w jednym z warsztatów mechanicznych w Krakowie, gdzie od r. 1931 wynalazek swój realizuje i ulepsza.

Z rozmowy wynika, że wynalazek usuwa z wszelkich pojazdów mechanicznych nie tylko skrzynkę biegów, ale także **kardan, dyferencjał, łańcuchy,** a nawet **hamulce mechaniczne i hydrauliczne,** zastępując te wszystkie części **jednym urządzeniem o konstrukcji zdumiewająco prostej.** Jest to tym ważniejsze, że — jak łatwo się domyśleć — po usunięciu z pojazdu wspomnianych urządzeń przenoszących pracę silnika na koła auta, **obniża się koszt sachodu** w bardzo poważnym stopniu.

Według zapewnień wynalazcy, które mieliśmy sposobność porównać z opracowanymi przez niego planami i modelami, urządzenie nowej konstrukcji będzie pracowało **bez zgrzytów i zrywów,** albowiem zmiany przeniesienia siły motoru na koła odbywać się będą podczas pełnej jazdy stopniowo i automatycznie za naciśnięciem jednego z dwuch guziczków, umieszczonych na kierownicy, przyczym **skala stosowania szybkości jest wprost nieograniczona.**

Przejście z biegu w przód do wolnobiegu i jazdy w tył, względnie odwrotnie, odbywać się będzie bez użycia jakichkolwiek innych dodatkowych urządzeń.

Hamulce również działają bez zgrzytów, przyczem zastosowano je na **prawą nogę, lewą zaś można dawać sygnały, gasić lub zapalać światła** i t. d.

W motocyklu guziki do zmiany biegu umieszczone będą także na kierownicy, **przyczem motocykl będzie mógł również jechać do tyłu.**

Ciekawą inowacją wynalazku jest możność przenoszenia napędu na **koło przyczepki.**

Wobec tego, że silnik przy wynalazku p. Walchera będzie mógł pracować zawsze w warunkach dla siebie najgodniejszych, tj przy najodpowiedniejszych obrotach, wynalazca spodziewa się **zmniejszenia zużycia benzyny conajmniej o 25 prc.**

Niemałym ulepszenieniem będzie także spodziewane uproszczenie konstrukcji samego silnika spalinowego.

Wynalazek — jak zaznacza p. Walcher — można dostosować do każdego samochodu. Pozatym zryw pojazdu będzie imponujący, przekładnia zaś nowej konstrukcji nie wymaga specjalnej opieki, albowiem w całości pracuje w cieczy.

Nie trzeba dodawać, że wynalazek, z którym **próby odbędą się już w najbliższym czasie w Krakowie,** posiada niezmiernie doniosłe znaczenie i w razie powodzenia dokonałby epokowego przewrotu w budowie samochodów.

Na zakończenie dodać należy, że wynalazca jest z zawodu technikiem i pracuje w urzędzie telefoniczno-telegraficznym w Krakowie. Urodził się w 1900 r. w Przemyślu, jako młody student wstąpił do Legionów Polskich. Był internowany w obozie w Huszt na Węgrzech. Ukończył gimnazjum w Myślenicach koło Krakowa, a następnie Szkołę Techniczną we Lwowie.

Walcząc z ogromnymi trudnościami natury finansowej, pracuje od kilkunastu lat nad różnymi wynalazkami w dziedzinie lotnictwa, kolejnictwa, telegrafu i telefonu, **uzyskując już kilka patentów**. Obok pracy zawodowej czas wolny poświęca on całkowicie pracy wynalazczej.

K.

Nowości motoryzacyjne

Jak niweczy się kosztowną propagandę

Ukazało się nowe rozporządzenie ministrów komunikacji i skarbu w sprawie wykonywania ustawy o Państwowym Funduszu Drogowym, zmieniające poprzednie rozporządzenie z maja 1933 r. Nowe to rozporządzenie, przewiduje także

stawki dzienne od pojazdów mechanicznych,

wprowadzonych z zagranicy na czasowy pobyt do Polski, a więc dla **celów turystycznych.**

Dzienne stawki wynoszą: 1) od pojazdów, posiadających do 6 miejsc (a więc od samochodów **osobowych**) za pierwsze trzy dni pobytu w Polsce — 5 zł., za każdy następny dzień — 1 zł; 2) od pojazdów posiadających do 25 miejsc, (**od autobusów**) za pierwsze trzy dni — 25 zł., za każdy następny dzień — 10 zł; 3) **od autokarów** z ponad 25 miejscami, za pierwsze trzy dni — 50 zł., za każdy następny dzień — 15 zł. **Od motocykla bez przyczepki** — 1.50 zł. za pierwsze trzy dni i 40 gr. za każdy dzień następny, **od motocykla z przyczepką** — 2 zł. za pierwsze trzy dni i 50 gr. za każdy dzień następny.

Płacą także pewne stawki wozy ciężarowe i traktory, a także konne pojazdy ciężarowe wprowadzone na czasowy pobyt do Polski. Opłaty wszystkie pobierana są przez **urzędy celne** przy wjeździe pojazdów mechanicznych do Polski **za okres najmniej trzech dni,** przy wyjeździe zaś **za każdy dalszy nieopłacony dzień pobytu.**

Tak oto z grubsza przedstawiają się postanowienia nowego rozporządzenia o poborze opłat na rzecz Funduszu Drogowego

od pojazdów turystycznych zagranicznych.

Przytoczone wyżej przepisy i stosowane opłaty napewno **nie przyczyniają się do ściągania do Polski turystów zagranicznych,** zwłaszcza że w innych krajach opłat takich nie pobierają.

W Anglii — ożywienie wśród konstruktorów

Angielskie silniki znane są w całym świecie ze swej

wspaniałej budowy i pedantycznego wykonania

Konieczność luksusowego wykańczania maszyn dla angielskiej klienteli spowodowała, że tegoroczne silniki są jeszcze bardziej ciche i spokojne. Przez umyślne żebra na wale korbowym osiągnięto w jednym z typów szczególnie spokojny bieg silnika, przez aerodynamiczne oprofilowanie skrzydeł wiatraka chłodzącego osiągnięto poważną nadwyżkę mocy.

Jeśli dodać, że w Anglii w tym roku wystawiono nowe silniki z ciekawym rozwiązaniem głowic, gwarantującym pracę bez stuków przy wysokim sprężaniu i zwykłym paliwie — to zdamy sobie sprawę, że tegoroczny samochód angielski osiągnął o wiele lepsze i widoczniejsze cechy postępu od samochodu Francji.

Skrzynki biegów maszyn angielskich zaliczane są dziś do najnowocześniejszych w świecie, czy byłby to Wilson czy planetarna Armstrong.

Najwidoczniejszy jednak postęp wykazali Anglicy w dziedzinie . . . ram. Większość klasycznych konstrukcyj posiada krzyżowe wzmocnienie,

pokazały się już nawet konstrukcje bezramowe

i to w tak konserwatywnych fabrykach jak **Morris** (typ 1,1 litr) oraz **Vauxhall** (1.5 litr.)

Tendencja zwiększania szybkości maszyn wpłynęła na konieczność opracowania skutecznych **systemów hamulców.**

Nowością jest nowy system polegający na zastosowaniu **dzielonych szczęk hamulcowych,** napierających równomiernie na bęben.

* * *

W Czechach zniesiono z dniem 1 stycznia 1939 r. **podatek od wszystkich pojazdów motorowych wszelakiego typu.** Również zostały zniesione wszelkie ograniczenia w **koncesjonowaniu przedsiębiorstw zmotoryzowanych,** z natychmiastowym terminem wejścia ustawy w życie.

* * *

Zakłady Forda w Kolonii założyły w **Budapeszcie siostrzaną fabrykę** pod firmą Ford Motor R. T, która będzie montowała i trudniła się sprzedażą wozów Forda i traktorów w całych Węgrzech. Kapitał zakładowy firmy wynosi 150.000 pengö.

* * *

W Brighton ustawiono w najruchliwszych punktach miasta i na węzłowych skrzyżowaniach dróg posterunki policyjne, zaopatrzone **w mikrofony i głośniki,** przy pomocy których kieruje policja ruchem ulicznym, pieszym i kołowym.

* * *

Francuska policja otrzyma w bieżącym sezonie zimowym **buty z ogrzewanymi podeszwami,** aby pełniąc służbę na ulicy nie odmrażała sobie nóg.

* * *

Najmłodszą, bo zaledwie 17 lat liczącą **lotniczkę świata,** jest Francuska Paulette Chagnaut. Egzamin na pilotkę złożyła z odznaczeniem.

* * *

Z dniem 1 stycznia 1939 **nie będzie wolno w Niemczech używać nazw cmentarze względnie rzeźnie samochodów,** lecz „zużytkowalnie samochodów" (Autoverwertung). Rozbiórka i poćwiartowanie wozu na drobne części, muszą być dokonane w ciągu **trzech miesięcy,** aby takie wozy nie mogły być więcej **remontowane i puszczane w handel.**

* * *

Władysław Rzepka (Lwów)

Rozważania optymisty

(Dokończenie)

Wracając teraz do naszej selekcji elity sportu światowego, znajdziemy wśród niej — mimo podanych wyżej zastrzeżeń — znacznie więcej ludzi wykształconych, często o wybitnej inteligencji, aniżeli ludzi pracy.

Składają się nato warunki życiowe, może łatwiejszy dostęp do sportu, więcej czasu na jego uprawianie, to też porównując skład reprezentacji danego państwa np. z reprezentacjami akademickiemi, zauważymy, że wiele nazwisk będzie się powtarzało.

Tak jest normalnie na całym świecie, tak było i jest w Polsce. Gdziekolwiek istnieje wyższa uczelnia, tam kwitnie sport akademicki, który góruje nad innymi zrzeszeniami sportu. Jest jednak zasadnicza różnica między akademickim sportem w świecie, a takim samym sportem w Polsce.

Młodzież akademicka za granicami państwa, która w ciągu dziesiątek lat stworzyła sobie możliwe udogodnienia, uważa sobie za zaszczyt zasilenie szeregów zrzeszeń uczelnianych, czy też międzyuczelnianych. O prawo wstąpienia w szeregi np. Oxford czy Cambridge walczy się jak o... spadek, student pierwszego z brzegu uniwersytetu w Ameryce nie odważyłby się zasilić szeregów innego klubu, by nie być zbojkotowanym przez współkolegów, jednem słowem panuje wszechwładnie — niepisane wprawdzie, — ale ogólnie szanowane prawo zwyczajowe, że akademik musi bronić barw akademickich.

Jakżeż inaczej jest w Polsce! Mimo istnienia akademickich Związków Sportowych we wszystkich miastach uniwersyteckich, dziesiątki, nawet setki młodzieży akademickiej zasila barwy innych klubów, wybijając je często na czoło sportu polskiego czy miejscowego.

Nikt nie uważa sobie za zaszczyt należenia do AZS-u, ba należąc zdaje mu się, że robi łaskę startując w barwach akademickich.

Panuje na tym polu pewne wypaczenie pojęć, młodych początkujących oraz nieorientujących się jeszcze w życiu sportowem akademików ogarnia pewnego rodzaju blichtr powierzchowności, imponuje mu czasami większa tradycja, głośniejsza nazwa klubu, a przeważnie lepsze chwilowo warunki pracy, nie zastanawia się jednak nad tym, że tę sławę i te warunki stworzyli właśnie jego rówieśnicy z przed kilku, kilkunastu czy kilkudziesięciu lat, którzy pracując w tym klubie i startując w jego barwach spowodowali ten rozgłos, stworzyli tradycję, a myśląc o następnych zostawili im udogodnione już warunki pracy.

Tej myśli o tym co będzie... jutro, o tym jak będzie sport uprawiał młodzieniec, który zapisze się dopiero w przyszłym roku, trudno się dopatrzyć wśród młodzieży wstępującej na wyższe uczelnie. Te udogod-

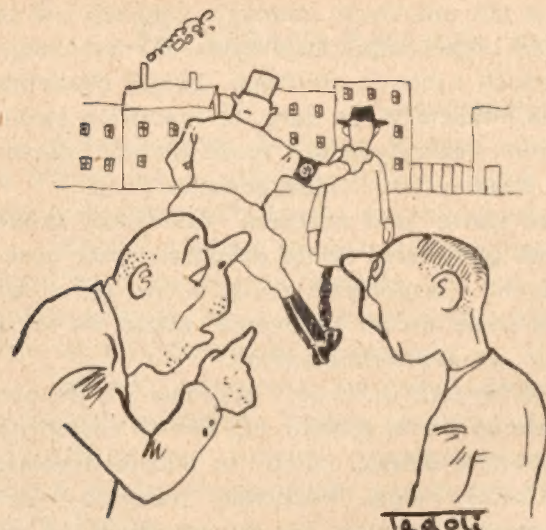
nienia, z których ta młodzież już w pierwszych dniach studiów akademickich korzysta, nie budzą w ich umysłach żadnych refleksji nie za stanawiają się nad tym, że nad organizacją tego życia akademickiego, nad budową domów akademickich i innych chlubach świata akademickiego pracowały całe pokolenia młodzieży. Te dary, tę krwawicę swoich poprzedników przyjmuje zupełnie bezkrytycznie i może dlatego cząstkę swojego „ja" składa w ofierze towarzystwu... nieakademickiemu.

Może są to nieco przykre słowa pod adresem młodzieży akademickiej, do napisania ich jednak upoważnia mnie dziesięcioletnia obserwacja tej młodzieży, praca dla niej i współżycie z nią, ocena zaś z perspektywy dziesięciu lat zmusza mnie do do zwrócenia uwagi na to zasadnicze zło, które musi być do gruntu wykorzenione.

Niech każdy wstępując na wyższą uczelnię, poczuwa się do obowiązku zostawienia najdrobniejszego bodaj spadku dla swoich następców. Nie musi to być zaraz wiekopomne dzieło, niech to będzie drobiazg, z którego przyszłe pokolenia będą mogły korzystać, niech to będzie małe udogodnienie, a nawet notatka, kronika czy wspomnienie, że taki zawodnik był i osiągał rezultaty pracy, która być może niejednego zachęci do wstąpienia w szeregi AZS-u. Niech każdy w organizację sportu akademickiego włoży odrobinę swej pracy, ułamek swojego jestestwa, niech dołoży jedną przynajmniej cegiełkę pod budowę wielkiego, sławnego na cały świat i ogólnie szanownego Akademickiego Związku Sportowego.

Po to przecież istnieje ten AZS, by z niego korzystali akademicy. Dziesięć pokoleń młodzieży akademickiej przeszło już przez AZS, pozostawiając w nim ślad swej przynależności i dziś AZS może się już pochwalić dorobkiem równym conajmniej innym klubom a może nawet większym, historię zaś i sławę tych barw my sami będziemy w dalszym ciągu tworzyli.

Zbliżmy się do wzorów zagranicznych, opierajmy się na nich a przewyższyć je też możemy, musimy jednak do AZS-u należeć wszyscy, musimy dla niego pracować wszyscy jak jeden mąż, a jeśli wśród nas znajdzie się wyrodek, dajmy mu taką nauczkę by dziesiątego przestrzegł przed zdradą barw akademickich.



— Czy nie wiesz zaco Hansa aresztowali?
— A bo zjadł dzisiaj za dużo chleba.

Wśród miłośników radia

— Co słychać, panie Antenenbaum?
— Dziękuję, wszystko dobrze. — Właśnie wczoraj uziemniłem swoją teściową.

Propaganda

Przed sklepikiem wisi plakat:
„Kupujcie towary krajowe!" a pod plakatem ktoś dopisał:
„Za co?"

Ironia

Podczas pamiętnych dni Dr Benesz otrzymuje następującą depeszę:
Nie martw się nic — licz na swoich sprzymierzeńców
Haile Selassie

Redaguje młodzież akademicka.

KOMITET REDAKCYJNY

Albinowska Ewa, Doktor Władysław, Dyląg Mieczysław, Gawalewicz Adolf, Mysłowiczówna Maria, Księżarek Tomasz, Kłosiński Tadeusz, Kurkiewicz Jan, Ropelewski Kazimierz, Wachtel Józef

Prenumerata roczna z wysyłką pocztową: **8 zł.**
łącznie z artystycznymi dodatkowymi wkładkami jak: oryginalne wielobarwne drzeworyty, miedzioryty, akwaforty, rysunki **15 zł.**

Dla młodzieży akademickiej przy odbiorze w administracji o 50% taniej.

Ceny ogłoszeń: Cała strona 200 zł., 1/2 strony 120 zł., 1/4 str. 70 zł.,
1/8 strony 40 zł., 1/16 „ 20 zł.

Redakcja i Administracja: Kraków ul. Jabłonowskich 7/4 Tel. 216 24

Godz. urzędowe od 3 — 7

Konto rozrachunkowe № 43, przez 2 Urząd pocztowy w Krakowie

Rękopisów nie zastrzeżonych nie zwraca się.

Przedstawicielstwo Redakcji w Stanach Zjednoczonych A. P.
Redaktor Olga Samborska 3220 W. Thomas Street Chicago-Illinois U.S.A.

Red. Nacz. i Wyd.: *Gawalewicz Adolf* red. odp. *Ropelewski Kazimierz*
Drukarnia Mieszczańska Teodory Bończa-Tomaszewskiej Kraków Dolnych Młynów 3.

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO im. OSSOLIŃSKICH
we Lwowie, ul. Ossolińskich 11. — Tel. 238-59.

ODDZIAŁY: w Warszawie, ul. Nowy Świat 72. — Telefon 598-81
w Krakowie, ul. Podwale 5. — Telefon 135-27

poleca

Podręczniki szkolne dostosowane do najnowszego programu i zatwierdzone do użytku szkolnego przez Ministerstwo W. R. i O. P.

DZIEŁA NAUKOWE I BELETRYSTYCZNE m. i.

Chlędowski K.:	Dwór w Ferrarze	zł 25·—
„	Królowa Bona	„ 10·—
„	Historie neapolitańskie	„ 20·—
„	Rzym — Ludzie baroku	„ 30·—
„	Siena	„ 20·—
„	Rzym — Ludzie odrodzenia	„ 22·—
„	Z przeszłości naszej i obcej	„ 25·—
Chlebowski B.:	Literatura polska porozbiorowa	„ 9·—
Chrzanowski I.:	Literatura a naród	„ 15·—
Fredro Al.:	Pisma wszystkie. Tomów 6 w opr. E. Kucharskiego	„ 30·—
Grabski St.:	Ekonomia Społeczna	„ 20·—
Historia sztuki.	Opracowali St. J. Gąsiorowski, M. Gębarowicz, T. Szydłowski, Wł. Tatarkiewicz, J. Żarnowski, J. Żurowski	„ 45·—
Ingarden R.:	O poznawaniu dzieła literackiego	„ 6·—
Kozicki Wł.:	Henryk Rodakowski. Z 8 tabl. i 131 ryc.	„ 18·—
Krzyżanowski:	Reymont. Twórca i dzieło	„ 4·—
Lam Wł.:	Malarstwo i jego zasady	„ 2·50
Mańkowski St.:	Galeria Stanisława Augusta. Str. XVIII — 528 — 233 repr.	„ 80·—
Sienkiewicz H.:	Pisma. Wydanie zbiorowe w opr. Chrzanowskiego Tomów 40	„ 180·—
	Poszczególne dzieła również w tzw. tanim wydaniu	
„	Publicysta. Krytyka, studia i wrażenia literackie i artystyczne. (Wydanie zbiorowe „Pism" t. XLI zł. 6·—, t. XLIV zł. 5·—, t. XLV zł. 8·—, t. XLVI zł. 7·—). 4 t.	„ 26·—
„	Trylogia. Najtańsze wydanie w formacie kieszonkowym z objaśnieniami, 4 mapami ze skorowidzem Tomików 26.	„ 15·—
„	Krzyżacy. Najtańsze wydanie w formacie kieszonkowym z objaś., mapą i skorowidzem. Tomików 8.	„ 5·—
Dawna sztuka.	Czasopismo poświęcone archeologii i historii sztuki. Komitet redakcyjny: S. J. Gąsiorowski, M. Gębarowicz, T. Mańkowski.	
	Prenumerata roczna	„ 20·—
	półroczna	„ 10·—
	Cena pojedynczego zeszytu	„ 6·—
Taszycki W., Jodłowski St.:	Zasady pisowni i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym	„ —·80
Tatarkiewicz Wł.:	Historia filozofii. Tom I—II.	„ 30·—
Tetmajer K.:	Wybór poezji. Opracował J. Lorentowicz (Biblioteka Narodowa. Seria 1, Nr. 123).	„ 2·50
Tokarz W.:	Insurekcja warszawska	„ 8·—
Ujejski J.:	Dzieje polskiego mesjanizmu	„ 8·—
Umiński J. ks.:	Historia kościoła. Tom I—II.	„ 24·—
Weil St.:	Chemia organiczna środków leczniczych	„ 15·—
Wereszczyński A.:	Wiadomości o Polsce współczesnej	„ 5·—
Zakrzewski St.:	Bolesław Chrobry Wielki	„ 6·—
„	Zagadnienia historyczne. Tom I—II.	„ 16·—

wydaje

BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ, BIBLIOTEKĘ WYCHOWANIA FIZYCZNEGO I SPORTU
TEKSTY ŹRÓDŁOWE DO NAUKI HISTORII W GIMNAZJUM I LICEUM.

Wydawnictwa
Zakładu Narodowego im. Ossolińskich do nabycia we wszystkich księgarniach.